

Co dalej absolwencie?

podróży!

Jerzy Turek

Andrzeja Huszczy

Napad w Otwocku

Sowieci: Przyjemnej

Piętnaście sezonów

Berlin: za pięć dwunasta

Tina Turner w Berlinie

GAZETA NOWA

ind. 359491

Zielona Góra

Tygodnik

KURIER ZIELONOGÓRSKI



DO WYGRANIA 100 000 ZŁ!
COTYGODNIOWY
KONKURS
GAZETY NOWEJ

speedway

ROK I NR 24/90 21 CZERWCA 1990 R.

1500 Zł

LUBUSkie **LA**tO Filmowe
24.06. – 1.07.1990
LAGÓW

**KINEMATOGRAFIA
EUROPY ŚRODKOWEJ I
WSCHODNIEJ**
godzina zero

MIEDZYNARODOWA
IMPREZA
FILMOWA



KONFRONTACJA CZTERECH
KINEMATOGRAFII

XX lat LLF

SPOTKANIA



DYSKUSJE
POKAZY
KINO RETROSPEKTYWNE
OGNIWA
ZAPRASZAMY

PREMIERY
KRAJOWE
WYJEDZ
SPRZEDAJ KAS
GOŚCIE
TYWNE
I SPRZETU
ZOBACZ

Chcę być
prezydentem
wszystkich
zielonogórzan

Rozmowa z nowym prezydentem
Zielonej Góry R. Doganowskim

Red.: Wziął pan ślub z Zieloną Górą: piękną kobietą, niezbyt dobrze ubraną (że przypomnę Pańskie słowa z naszej redakcyjnej dyskusji o mieście). Z miłości czy z rozsądku?

R. Doganowski: Przede wszystkim z miłości. Trafiłem tutaj z Wrocławia 17 lat temu. Przyjechałem, zobaczyłem... i zostałem. Miasto urzekło mnie swym położeniem wśród zalesionych wzgórz i niekłamanej urodą. Chciałbym coś od siebie Zielonej Górze dać, oczywiście przy silnym wsparciu całej rady miejskiej, współpracowników i samych mieszkańców. Przypomnę hasło wyborcze KO „S”, z którym się w pełni utożsamiam: „Nie oblecemy — jutro będzie lepiej. Mówimy: spróbujmy wspólnie uczynić jutro lepszym”.

Red.: Prócz hasła był też program, pod którym podpisywał się Pan jako kandydat na radnego.

R. Doganowski: I który chciałbym teraz realizować jako prezydent.

Red.: Na co pan stawia?

R. Doganowski: Ja w moim prywatnym haśle — na Kompetencje, Operatywność, Solidność. Na KOS.

Red.: Kto za panem stoi?

R. Doganowski: Na pewno 597 wyborców, którzy oddali na mnie głos 27 maja oraz Obywatelski Klub Radnych, który zgłosił mnie ja

(Ciąg dalszy na str. 5)

PRAWA MARSZ

Orły z alei Niepodległości

Każą nam uwierzyć:

To oni właśnie byli drożdżami Sierpnia 80. Kielkujące idee wsparli płomienną publicystyką. Ręce mieli czyste i duszyczki niewinne. Chcieli jednego: aby Polska była Polska. Liczyła się dla nich tylko prawda. I sprawiedliwość. I wolność. I równość. I braterstwo. I „Solidarność”

Od słów przeszli do czynów. Pan Zbyszek, nie dbając o nieprzespane noce, pełnił społecznie funkcję rzecznika prasowego Regionu. Pani Ala używała niedoświadczonej związkowej ekipie swej intelektualnej głębi i polotu. Czołowymi bojownikami o świętą sprawę stali się pan Czesław i pan Henryk. „Gazety na szczyt codziennej, daj nam Panie!” — błagał ludźmi, stęskniony słów prostych i do serca trafiających, które wychodziły spod pióra pana Franka.

Wtedy jeszcze przegrali. Pan Zdzisiek i pan Marian znaleźli się w ośrodku dla internowanych. Pani Renia dowodziła im kanapki

domowym smalcem, pichcąc jednocześnie w redakcyjnej piwnicy patriotyczne ulotki. Pan Mirek, zweryfikowany na bruk przez partyjną nomenklaturę, pożegnał się z dziennikarstwem na osiem długich lat. Pan Zenek wyładował w punkcie naprawy parasoli. Pozostali wzięli na swe barki niewdzięczny ciężar wallenrodyzmu. Usypiając czujność cenzorów, podtrzymywali wiarę, nadzieję i miłość. Nauczali czytelników szukać prawdy między wierszami. Trwali „Bo serca nasze odważne, nie można ich uciemnić”.

Doczekali się i znowu, jak przed laty, nie zabrakło ich w pierwszym szeregu. Promując NOWE, wygrali dla nas i czerwcowe i majowe wybory. Ekipa Mazowieckiego stała się ich ekipą. Uwierzygodniali się każdym słowem, każdym gestem, każdym znakiem drukarskim. Kropka, przecinkiem i cudzysłowem

Dzisiaj:

Stają przed nami z podniesionym czołem, oczekując zapłaty za wierną służbę. Apostołowie odnowy, kombataneci reform społeczno-

politycznych. Rycerze Świętego Graala i Dziewice Orleańskie. Moralni zwycięzcy bezkrwawej polskiej rewolucji Sojusznicy słusznej sprawy. Zespół redakcyjny „Gazety Lubuskiej” — dzielne orły z al. Niepodległości.

Wrony z pl. Bohaterów Upadającego Systemu.

Mówią nam:

Jesteście tylko naiwnymi, nawiedzonymi harcerzykami, z nieciekawą przeszłością i żadną przyszłością. Amatorami — półgłówkami. Nikogo nie reprezentujecie. Nikt was na serio nie bierze. Wasz czas mija, o ile w ogóle kiedykolwiek nastąpi.

Pytam więc:

Dla kogo właściwie robiliście tę rewolucję? Dla kogo przekształcamy PRL w Rzeczpospolitą Polską? Dla nich? Aby mogli butnie powtarzać: byliśmy, jesteśmy, będziemy?

Zapłaciłem osobiście zbyt wysoką cenę, aby teraz milczeć. I naprawdę, nie czuję się osamotnionym.

EDWARD J. MINCER

ROBOTY BUDOWLANE

Ogłaszam konkurs na majstra!

Nastal na Budowie... czas przejściowy. Przyznam szczerze, że w okresie wylewania fundamentów, wznoszenia stropów, czy powstawania nowej prasy budowlanej — wygodnie i szczerze TOŻSAMO, było nam w brygadzie. Czyli w kupie. Dziś, na tej zielonogórskiej już Budowie, opanowała Pana Czesia... nostalgia. Okazało się, że w tym „stanie straty fikacji” brakuje po prostu AUTENTYCZNYCH INDYWIDUALNOŚCI. Dawniejsze przestaty być wiarygodne, albo okazały się małe, koślawe i nieuczciwe. Bo jeśli podstawową wartością człowieka jest to, że „posiada” jako jedyny w Polsce tytuł profesora metodyki nauczania np. języka polskiego, to żal nam nauki polskiej i... języka polskiego.

Onegdaj było głośno w Zielonej Górze o Profesorze. A najżałośniejsze okazało się to, że w momencie ujawnienia pewnych grzeszków Profesora, najdotkliwiej — bo obyczajowo —

spostponowali go koledzy naukowcy z organizacji partyjnej.

Ale nie w tym sedno. Otóż zauważyliśmy na Budowie, że w tym — już charakterystycznie zaściankowym, zielonogórskim — pędzie do stroszenia piórek, bardzo „subtelnie” traktuje się tzw. niepokornych. Takiemu NIEPOKORNEMU osobnikowi rzuca się w twarz zda nie: „nie ma ludzi niezastąpionych”. Zaiste nie ma!

Dlatego w Zielonej Górze każdego człowieka można zastąpić i każdego można odstawić na boczny tor. Profesor po prostu oblewał na egzaminie NIEPOKORNYCH, albo... „nieuków”. A to, że „oblano” Profesora nie znaczy wcale, że był niepokorny.

Klauzula „nie ma ludzi niezastąpionych” doprowadziła do tego, że trudno się oprzeć na jakimkolwiek autorytecie. Pokażcie mi w Zielonej Górze kogoś powszechnie uznanego za

autorytet, ale żeby jeszcze — przy „okazji” — był INDYWIDUALNOŚCIĄ. Nie na miarę tego miasteczka, tej Budowy, jednej czy drugiej Gazety.

Ba! Jeśli już ktoś taki pokaże kawałek twa rzy, albo kielni — zaraz mu się znajdzie... jakiegoś skłonności, jakąś „przeszłość”, jakąś pustą butelkę... rozwód. Albo powie się mu „nie ma ludzi niezastąpionych” i „paszot won”.

Dobrze nam było w kupie... na początku! Nam wszystkim. Chciałoby się jednak trucha we własnym imieniu, nawet niepokornie, nawet nie w interesie kupy. Marzy się Panu Czesiowi, że pewni ludzie w Zielonej Górze „będą nie do zastąpienia”. Ale tak może sobie marzyć tylko facet wrzucający w betoniarkę trzy razy tyle niż inni. Ale takiego faceta nazwą zaraz... megalomanem.

Czas na wielkie grzybowe... branie.

PAN CZESIU.

MIASTO NA BOCZNYM TORZE

Stoją sobie przy zielonogórskim Deptaku. Jeśli się go przemierza z pochyloną głową, pokornie, nie razi swym wyglądem. Nastraja nawet optymistycznie! Gorzej, jeśli spojrzeć nieco wyżej.

Kamieniczki, ich wygląd. To jest przecież Starówka, która świadczy o mieście. W miasteczkach europejskich wydziela się to serce miasta właśnie dla pieszych, spacerujących. Tworzy się tam sieć sklepowo-kawiarnianą. Z co drugiej więc kamieniczki wylewa się na deptakową rzeczywistość kawiarniany świat.

Pomazmy przez chwilę. Deptak zielonogórski zalewa sieć kawiarnianych ogródków. W pogodny dzień siedzą tam sobie razem, na przykład Redaktor R. i Redaktor B. przy małej czarnej. Ten pierwszy tokuje: — Wiesz, będę Ci tradycyjnie promował Gazetę na swoich łamach. Nr 10 B. — Już nie trzeba. Zbyt

długo czekałem! Albo tak: W innej części, w kraciastej marynarce, samotnie przesiaduje Redaktor A. wraz z palmą, gdyż ceny w Palmiarni, tej właściwej, srodze go wystraszyły, a poza tym A. wie nareszcie dokąd zmierza, bo oto na stoliku leży „Gazeta Wyborcza”. Kąt mu się zmienił. Patrzenia...

Tymczasem w Rynku stoją jeszcze dwie, długo już remontowane kamieniczki. Do niedawna miejscowi plastycy mieli podobne jak ja, nierealne marzenia... W budyneczku po dawnej „Krystynce” sklepie bodajże północzniczym, miał zmieścić się dom plastyka. Oprócz jedenastu pracowni dla malarzy, siedziby miały tu mieć PSP, „Sztuka Polska”. ZPAP „Sztuka Użytkowa” czyli związki twórcze i galerie. W piwnicach planowano Klub Związków Twórczych. Myślano też by stworzyć sklep zaopatrujący plastyków. Inwestycję dotychczas

sponsorowały: konserwator zabytków i organizacje, które miały znaleźć tu dla siebie siedzibę.

Pod koniec maja urzędujący jeszcze Prezydent zawezwał plastyków i oznajmił, że jeśli Ci nie zapłacą PKZ-tom, które są wykonawcą robót, określonej sumy, to te zejdą z budowy. Zaproponował dalej, aby może plastycy zrezygnowali z organizowania galerii na dole, i wydzierżawili dół na 10 lat, np. PEWEX-owi, PZZ-tom lub Rzemiosłu. Ci mają pieniądze i chętnie wezmą. Przysty więc marzenia o Deptaku, który zawłaszcza właśnie plastycy ze „swoim domem”. Dlatego, pomyślałem, że może nowy Prezydent uratuje pomysł i pomoże stworzyć deptakowy artystyczno-kawiarniany świat.

ANDRZEJ BUCK

CZY ABSOLWENTOM grozi bezrobocie?

LUCYNA MAŁACHOWSKA-GRABOWSKA

Co zrobia z sobą młodzi otrzymujący w tych dniach dyplomy zawodowe? Kilka lat temu, kiedy rozpoczynali edukację, nie przyszło im do głowy, że dyplom będzie się nadawał co najwyżej do oprawy w ramki.

Dpowiększą armię bezrobotnych. Na ich ziś wszystko wskazuje na to, że tegorocznymi absolwenci szkół zawodowych kolegów z poprzednich roczników czekały fabryki, budowy. Zakłady organizowały giełdy pracy u siebie, w wydziałach zatrudnienia, a nawet w szkołach. Zabiegały o początkujących fachowców. Teraz nie z tych rzeczy. Po zostaje szukanie pracy na własną, bardzo przecież jeszcze niedoświadczoną rękę, poprzez rodziców lub ich znajomych. Rodzice też miewają kłopoty, bywają redukowani, nie mogą znaleźć pracy dla siebie.

Według rozważań Kuratorium Oświaty i Wychowania z 6,5 tysiąca tegorocznych absolwentów szkół średnich połowa będzie poszukiwać pracy.

Tej młodzieży trzeba udzielić wsparcia — mówi wicekurator Józef Murzyński — Poprosiliśmy dyrektorów szkół, aby poprzez swoje kontakty z zakładami, instytucjami szukali uczniom zajęć.

Oświata czuje się moralnie odpowiedzialna za swoich wychowanków. Czy będzie w stanie pomóc im w konkretnych?

Póki co, bardziej martwią się dorośli, niż sama młodzież. 19-latkowie nie mają, być może razie (w najbliższej perspektywie są egzaminy na studia, a potem wakacje), czarnych myśli. Tak wynika z sondaży przeprowadzonych w szkołach. W Zespole Szkół Samochodowych w Zielonej Górze tylko 3 proc. absolwentów liczy się z tym, że mogą być bezrobotni. Połowa wybiera się na studia, 10 proc. liczy na wyjazd za granicę (chcą tam popracować i wrócić do kraju), 28 proc. zakłada, że podejmie działalność na własny rachunek. Raczej nie czują obaw.

Z kolei inne dane świadczą o tym, że młodzież jednak liczy się z trudnościami w znalezieniu pracy. W tym roku bardzo dużo uczniów ostatnich klas techników i liceów zawodowych, bo aż 92,2 proc., przystąpiło do matury. W ubiegłych latach tylko 75-80 procent. Matura rośnie w cenę. Daje możliwości starania się o przyjęcie na studia, a w przypadku poszukiwania pracy może dać lepsze szanse.

Młodzież kończąca zasadnicze szkoły zawodowe także wykazuje większe niż w ubiegłych latach zainteresowanie dalszą nauką. Jedni przy obecnym kryzysie liczą na przetrwanie trzech dalszych lat w technikum, innym przyswiewca cel głębszy. Zaczynają doceniać wartość wykształcenia. Ten trend zaznacza się wyraźnie w szkołach zaocznych i wieczorowych. Sluchacze bardzo się starają, by utrzymać się, by nie odpaść w ciągu roku. Myślą tak: skoro zakład wemnie inwestuje, muszą mieć ambicję ukończenia nauki. Być może, dzięki temu, że się uczą, utrzymam się w pracy.

To są pozytywne rezultaty zmian gospodarczych.

W tym roku oświata niewiele będzie mogła zrobić dla swoich absolwentów. Z pewnością wiele szkół, a przede wszystkim ludzi zajmujących się dotąd planowaniem kształcenia przeżywa frustrację. Dotychczasowy rynek pracy, do którego przygotowywane kadry, przestaje być aktualny. Kiedyś wiadomo było, co to jest tak zwany „pożądany” kierunek kształcenia. Dla nikogo nie było zagadką, ilu murarzy, tokarzy, stolarzy potrzebnych będzie w danej okolicy. Teraz pożądate kierunki można określać intuicyjnie.

W Zielonogórskim o 100 procent zwiększono liczbę miejsc w szkołach policealnych, głównie na kierunkach medycznych, w technicznej obsłudze szpitali, w rolnictwie, elektromechanice.

Józef Murzyński i jego firma chcieliby kształcić uczniów w zawodach potrzebnych. Kuratorium jest gotowe uruchamiać nawet nieliczne grupy zawodowe, ale z nadzieją, że absolwenci będą przydatni. Jednak zorganizowanie elastycznego kształcenia jest stymulowane możliwością praktycznej nauki zawodu. Gdyby przyszedł ktoś ze spółki i powiedział: potrzebujemy 15 akwizytorów, oświata może natychmiast uruchomić grupę, ale młodzież musi mieć możliwość praktyki.

Szkola sama nie wykształci fachowca. Zakłady, które tradycyjnie domagały się fachowców, dziś odmawiają przyjęcia na praktykę.

Oświata zawodowa nie może pracować sobie a muzu. Musi szybko znaleźć nowe rozwiązania programowe. Kształcić w szerokich profilach, na przykład nie sprzedawców lecz handlowców. Musi znaleźć model uczenia bardziej wszechstronnego, przystającego do życia, nie czekając na ogórne programy. Im szybciej tym lepiej.

W tej chwili zainteresowanie zakładów tegorocznymi absolwentami jest znikome. Największe widoki na pracę ma młodzież kończąca szkoły przyzakładowe.

W Rejonowym Biurze Pracy obejmującym miasto i gminę Zielona Góra, gminy Zabór i Świdnicę, miasta i gminy Czerwieńsk i Nowogród Bobrzański od początku tego roku zgłosiło się 90 absolwentów (w większości ubiegłorocznych), z czego 57 jest na zasiłku dla bezrobotnych. Przez pięć miesięcy tylko dla 7 osób udało się znaleźć pracę. Wśród 21 zgłoszonych tu absolwentów tegorocznych są 4 osoby z wyższym wykształceniem, 14 ze średnim zawodowym. Nie ma dla nich zajęć.

Pani Teresa Olewska kierowniczka Rejonowego Biura Pracy w Zielonej Górze spodziewa się lawiny młodych ludzi z dyplomami. Niepokoi się. Co im odpowie? Że są niepotrzebni już na starcie? Gdyby chociaż znali języki obce, mogliby sobie jakoś poradzić. Personel biura ma tremę przed tymi rozmowami.

Co czeka absolwentów w biurze pracy, jeśli nie praca? Przez 12 miesięcy będą mieć status absolwenta i prawo do większego zasiłku. Osoby z wyższym wykształceniem przez 3 miesiące otrzymują zasiłek w wysokości 200 proc. najniższego wynagrodzenia, przez następnych 6 miesięcy 150 proc., potem zasiłek równy najniższemu wynagrodzeniu. Po 12 miesiącach przechodzą na status bezrobotnego.

Absolwent szkoły zawodowej-zasadniczej, średniej, policealnej (za wyjątkiem liceów ogólnokształcących) przez trzy miesiące otrzymuje zasiłek równy 150 procentom najniższego wynagrodzenia, potem 100 procent.

Wojewódzkie Biuro Pracy przygotowało informator (bardzo szczegółowy) o absolwentach szkół wyższych i ponadpodstawowych. Broszurkę rozesłano do zakładów i instytucji, z nadzieją, że zakłady same będą oferować zatrudnienie, niekoniecznie poprzez biura pracy.

Biuro zielonogórskie próbuje nakłaniać swoich klientów do szukania zajęcia na własną rękę. Ofert zgłoszonych jest mało (zaledwie 120 na 2600 zarejestrowanych w tej chwili bezrobotnych), ale liczne ogłoszenia w prasie, a nawet na słupach świadczą o tym, że praca tu i ówdzie jest. Często są to propozycje z prywatnych zakładów, do których bezrobotni podchodzą ostrożnie.

Pani Olewska widzi dla młodych szansę w działalności na własny rachunek. Zachęca do większej odwagi, aktywności. Może rodzice pomyslą o przedsięwzięciach gospodarczych i zatrudnią własne dzieci. Dlaczego nie?

W biurze pracy można składać wnioski o kredyt na uruchomienie własnego przedsiębiorstwa. O pożyczkę mogą ubiegać się także zakłady gotowe utworzyć dodatkowe miejsca pracy.

Zgłoszono już 60 wniosków, 46 indywidualnych i 14 z prywatnych zakładów. Jeśli ktoś nie ma odwagi startować w pojedynkę, może założyć wspólny interes z innymi bezrobotnymi. Są chętni na małą gastronomię, na otwarcie sklepów, na zakład stolarski, na produkcję toreb foliowych.

Warunki kredytu są korzystne. Górna granica pożyczki równa się 20-krotnemu średniemu wynagrodzeniu. Kredyt można zaciągnąć na pięć lat, początek spłat po dwóch latach.

Inną furtką może być przyuczenie do nowego zawodu. Nie wiadomo, jak podejść do tej możliwości świeżo upieczeni absolwenci.

Sobota, 30 czerwca, godz. 15 i 19, sala COS w Drzonkowie

Polska Zachodnia-RFN w kick-boxingu

Sport i muzyka – show jakiego jeszcze nie było

**„Chłopcy z Placu Broni”, Wanda Kwietniewska, mistrzowie Europy: Włodzimierz Rój (karate), Mirosław Daszkiewicz (kulturystyka), modelki, tele-bim, aikido
Dochód na przedszkole dla dzieci specjalnej troski w Zielonej Górze**

– Cegiełki do nabycia w Orbisie, PTTK i YUMIE (KMPiK)

Sowieci:

PRZYJEMNEJ PODRÓŻY !

CZESŁAW MARKIEWICZ

Interpelacje w Sejmie, incydenty w Krakowie, pikiety w Warszawie, głódówka w Legnicy — to bilans „akcji” zamykających się w tytułowym haśle. Rozpadające się IMPERIUM nie opuszcza przyczółków „spełniając misję” wyznaczoną przez Układ Warszawski — jak mówi radziecki pułkownik, przedstawiciel dowództwa jednostki stacjonującej w Szprotawie. Siadając przy jednym stole i pijąc biurową herbatkę, obaj zdajemy sobie sprawę, że możemy tylko p o g a d a ć ... samolotkach, mieszkankach i jakichś szczegółach dotyczących np. „ołowianych żołnierzyków”. Rozstrzygnięcia zapadają, bądź zapadną na najwyższych szczeblach gdzieś... w Moskwie, Waszyngtonie, może w Warszawie. Jednak z lotu ptaka problem imperialnej obecności obcych wojsk wygląda zupełnie inaczej niż z perspektywy szprotawskiego rynku. Póki co: hasła hasłami, głódówki głódówkami — a Armia Radziecka dość wyraźnie zaznacza swoją obecność w wolnej, niezawisłej, samostanowiącej Rzeczypospolitej.

Jeszcze w ubiegłym roku święcono „Wielki Październik”, „Dzień Zwycięstwa” i dwudziesty drugi dzień lipca — jako archetypy niereformowanej Komuny. Szczecińotano przyjaźnie bez tłumaczy, a w maju, spod samolotu-monumentu ustawionego w Szprotawie w latach soc-hossy, wystartowała „Sztafeta pamięci” z metą w Zaganiu. Tam też Armia Radziecka „spełnia misję”. Ścisłe kontakty z pezetpeerowską władzą — nazywane przez radzieckiego pułkownika „tradycyjnymi” — urwały się nagle, z powodów oczywistych, razem z odjazdem PZPR.

Niemniej życie rządzi się swoimi prawami i zerwanie w ogóle... bilateralnych kontaktów, z jakąkolwiek władzą, jest po prostu niemożliwe. Dlatego w Szprotawie pojawiło się rosyjskie szefostwo z Legnicy i zarządziło pójście do porozumienia, żeby umożliwić wspólne życie i pracę. To „wspólne” polega na tym, że przez kilka dziesięcioleci obecności, radzieccy „misjonarze” — nazywani w Szprotawie Amerykanami — sporo napusili. Najpierw dość skutecznie zajeżdżono drogi, później zaczął się sypać most na Bobrze, wreszcie, nawet niewielkie, powierzchniowe wycieki ropy, pomnożone przez te wszystkie lata, spowodowały istotne zagrożenia ekologiczne. Dodajmy do tego dość nieszczęśliwie zaprojektowany jeden z pasów startowych wojskowego lotniska; z tego pasa samoloty wylatują wprost nad miasto, a że szkoli się w Szprotawie wybitnych lotczików, uczą się latać po ciemku... na przykład o drugiej w nocy.

I rzecz nie w konfliktach politycznych, czy narodowych, ale w uciążliwościach obecności wojska w mieście — jak powiada jeden z na-

czelników Szprotawy. Niewygodnie jest gospodarzom i... gościom. Akurat nie dochodzi do żadnych incydentów, ale zdają się tzw. sytuacje. Kilkaście dni temu na tereny wojskowe wybrała się grupa spacerowa: chłopak i dwie dziewczyny. Rosyjskie służby wartownicze nie przybyły z "sięzycą, słuchają radio i czytają gazety. Wyposażeni w automatyczną broń z ostrymi nabojami, każdą taką wycieczkę polskich obywateli mogą odebrać jako prowokację, albo „akcje” np.... Konfederacji Polski Niepodległej. Chłopaka tym razem nie zastrzelono, lecz przekazano polskiej policji. Zupełnie inaczey tego typu spacery wyglądają w przypadku polskich terenów wojskowych. O wiele gorzej wygląda to w kontekście obecności wojskowej, chociaż stopień „uwrażliwienia” Rosjan jest nawet zrozumiały.

Inaczej też odbiera się np. włamania polskich złodziei do polskich mieszkań. Alz trzy krotne włamania do radzieckiego przedszkola i ograbienie radzieckich lodówek, czy... lodówki, ma zupełnie inny, poza kryminalnym, wymiar.

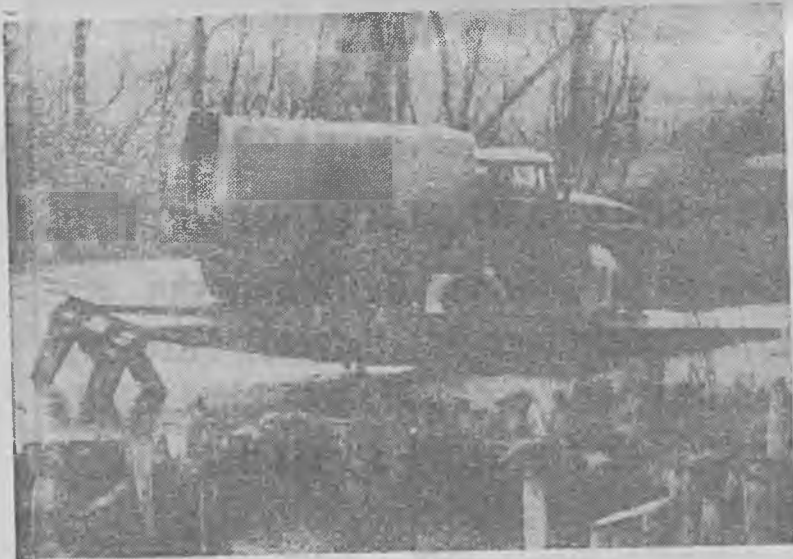
Dość zabawnie, albo groteskowo wygląda sprawa tzw. wycieków ropy. W styczniu stwierdzono duże ilości ropy w Szprotawce. Rzeczka nie ma bezpośredniego połączenia z lotniskiem, szukano więc źródła zanieczyszczenia. Otóż koło stacji kolejowej usytuowana jest stacja przeładunkowa, od której odprowadzony jest rurocią do lotniska. Co kilometr znajdują się studzienki rewizyjne zamknięte na kłódki. Stwierdzono, że ktoś pokonał tę przeszkodę i czerpał do woli atrakcyjne paliwo. Obok odkryto ślady opon traktorowych. Z odkręconego zaworu ciekła ropa zanieczyszczona.

czając Szprotawkę. Nie przyznają się do tego Rosjanie, i pomysłowość rodzimych „bohaterujących” jest skądinąd znana. Niemniej wiele razy w tym rodzaju „bohaterstwo” sko-
we myte bezpośrednio w Bohrze. Su nawet zdjęcia

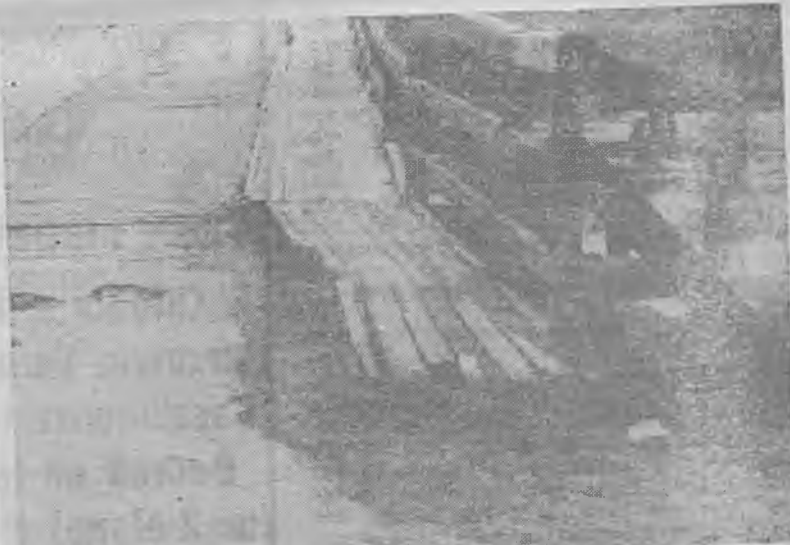
Nocne loty, te odbywające się grubo po północy, przzerwano dopiero miesiąc temu. Dziś ostatnie „odrzutowe decybele” slychac nad Szprotawą o 22.00. Nie trze się też podczas święt narodowych i religijnych. Oczywiście polskich. Ale to dopiero od miesiąca, chyba nie z własnej, już radzieckiej, woli. W ogóle Rosjanie są jakby ostrożniejsi. Rzecz jasna chętnie mówią o wspólnych z Polakami zawodach strzeleckich, spartakiadach, o politycznym szkoleniu bez „białych plam” itp. itd. Jakby o tym nie mówić, pułkownik który ze mną rozmawiał, ma 42 lata, a generał — dowódca jednostki — 15 lat. Doskonale orientują się w sytuacji i jeśli któryś z żołnierzy, czy oficer „za dużo sobie pozwoli” jest natychmiast odsyłany do ZSPR. Problem w tym, że gdyby nagle wszyscy mieli wyjechać, i to nie tylko ze Szprotawy nie mieliby gdzie mieszkać w swojej ojczyźnie. Tu, w Polsce „wyjścia” wojsk radzieckich też nie są takie jednoznaczne. Czyta się np. o wyjeździe jakiegoś tam grupy z Legnicy, ale w Szprotawie, miejscowi wiedzą, że u nich przybywa Rosjan. A tu też są problemy z mieszkańcami. Jeśli Rosjanie je zwalniali, nadają się — delikatnie mówiąc — do remontu. Zanim to następuje, dzieło destrukcji wieńczą miejscowi i mieszkania trzeba już kapitalnie remontować. Stąd pojawia się problem denerwujący polskich bezdomnych, zwany pustostanami. Tablice na budynkach informujące, że dana posesja nie jest już radziecka, trafiają swoją treścią do sumień, tylko sporadycznie.

Ostatnie wydarzenia polityczne przyniosły Szprotawie kilka „obywatelskich” prezentów, ale „uziemiły” radzieckie inicjatywy. Oto jeszcze w peerelowskiej, bratniej rzeczywistości dogadano się z Rosjanami, że zbudują nowy most na Bobrze i oczyścić zanieczyszczone ścieki. Dziś nikt już o tym nie wspomina. Armia Radziecka jest także biedna i nie stać jej nawet na remonty zajmowanych przez siebie budynków.

Problem „misyjnej” obecności Armii Radzieckiej np. w Szprotawie wymyka się z rąk. Oczywiście... ręce można umyć: stare władze mają praktykę w oficjalnych, często wyłącznie politycznych kontaktach. Czy nowe władze potrafią wyegzekwować od gości to, co się należy gospodarzom? Tym bardziej, że każdą decyzję „przywózczy” się z Legnicy. Stamtąd też pochodzi... idiomatyczne przysłowie rosyjskie, że gość do domu gospodarza nie przychodzi z własnym stołem. Słowem: wszystko czym, i z czego żyje Armia Radziecka w Polsce, pochodzi znad Wisły, Odny, Bobru i... Szprotawki. A to, że ktoś sobie „przy okazji” uszczęknie beczuszkę ropy... to już sprawa odrzędzonej policji. Proponuje więc zmienić nie najlepsze hasło „Sowieci do domu” na „Sowieci czyścieć rzeki, budować mosty, reperować drogi” — a potem... przyjemniej odroży.



Macie samochodów JAR-u w rzece



Zniszczony most

Fot. R. Kobisz

Odchodzimy z podniesioną głową

ROZMOWA Z PREZYDENTEM EDMUNDEM BLACHOWIAKIEM
I VICEPREZYDENTEM BARBARĄ BARTOCHĄ.

RED: Czy byliście Państwo ekipą z nomenklatury?

E. BLACHOWIAK: Skądże znowu! Typową ekipą fachowców. Jestem po studiach prawno-administracyjnych i ekonomii. Po siedmioletniej wiceprezydenturze wygrałem konkurs na prezydenta.

B. BARTOCHA: Jestem ekonomistką i organizatorem produkcji. Po 13 latach pracy w Komisji planowania i 1,5 roku pełnienia funkcji sekretarza KM PZPR d/s ekonomicznych (wiele się wtedy nauczyłam, choćby słuchać ludzi) zostałam ściągnięta do ratusza przez prezydenta Blachowiaka.

E. BLACHOWIAK: Jako fachowiec... i jako kobieta. Jestem z natury dość impulsywny, podobnie wiceprezycenci Czesław Karczmarski i Kazimierz Jakubowski. Gdyby tak przyszedł czwarty narwany... A wiadomo, kobiety są łagodniejsze.

B. BARTOCHA: Trudniej jej odmówić, niż mężczyźnie.

E. BLACHOWIAK: Nie wiem, czy któryś z nas dałby sobie tak dobrze radę, kiedy trzeba było siedzieć nocami w PKM-ie i łagodzić nastroje.

RED: Czego można się dorobić w zielonogórskim ratuszu?

B. BARTOCHA: Stresów i wrzodów na żołądku.

E. BLACHOWIAK: Wiceburmistrz z holerderskiej gminy Valkenswaard, który był w Zielonej Górze podczas ostatnich wyborów, długo nie mógł się nadziwić, że zarabiam w przeliczeniu ok. 130 dolarów miesięcznie. My

ślali, że dziennie. On ma miesięcznie ok. 5500 dolarów.

B. BARTOCHA: Mieszkam na 38 m kw., jeżdżę maluchem kupionym na przedpłaty i to dzięki dziadkowi.

E. BLACHOWIAK: Mój stan posiadania to M-4 na Łużyckim (50 m kw.) i stary duży fiat. Tyle, że buduję się poprzez spółdzielnię na Braci Gierzyńskich.

B. BARTOCHA: Dorabiać się zaczniemy po odejściu z urzędu. Każdy z nas ma kilka propozycji pracy z pensją, no o wiele wyższą, niż obecna.

RED: Do jakich stółków Państwo się przymerzacie?

E. BLACHOWIAK: Decydować się na konkretną ofertę nie było kiedy. Chcemy przekazać miasto w nowe ręce „w pełnym biegu”. Jeszcze kilka dni temu organizowaliśmy pokaz nowej technologii budowania ze styroporu, teraz Cz. Karczmarski ściąga maszynę do układania dróg z piasku, prowadzimy rozmowy z Holendrami w sprawie konkretnej współpracy gospodarczej. W urzędzie nie można sobie pozwolić na pracę „na jałowym biegu”.

RED: Czy moglibyście się Państwo sami podsumować?

E. BLACHOWIAK: Zadowolony jestem przede wszystkim z tego, że mimo trudnej sytuacji gospodarczej, nie zwolniliśmy tempa rozwoju miasta. Dołożyliśmy kilka własnych rozwiązań w zakresie gospodarki komunalnej, komunikacji, budownictwa jednorodzinnego. Żałuję natomiast trzech rzeczy: że nie udało się zrealizować w pełni prac gazyfikacyjnych,

że mamy opóźnienia w uciepleniu Zielonej Góry i że nie doczekaliśmy się kapitalistów, którzy chcieliby u nas inwestować. Miejscowego kapitału prywatnego prawie nie ma, każdy czeka, aby miasto dało. Z czego?

B. BARTOCHA: Mam szczególną satysfakcję z utworzenia MPK oraz kompleksowego rozwiązania problemu odpadów (przymiarki do budowy kompostowni, utworzenie spółki do zagospodarowania odpadów przemysłowych). Jest szansa dla nowej ekipy, że miasto będzie na śmieciach zarabiać, a przynajmniej — nie będzie do nich dokładać. Żałuję — że z powodu braku środków nie wyszły nam remonty starej substancji mieszkaniowej i że Zielona Góra jest wprowadzie zielona, ale nie kolorowa. Czy wie Pan, jak czuje się kobieta w ciaglej tej samej, jednobarwnej sukience?

RED: Dobrego samopoczucia nie można Państwu odmówić.

E. BLACHOWIAK: Oczywiście. Odchodzimy z podniesioną głową. Będę mógł śmiało chodzić po ulicy i patrzeć ludziom w oczy. I miałbym ogromny żal, gdyby nowa ekipa potępiła wszystko, co było, w czambuł. To byłaby wielka niesprawiedliwość i wobec nas i wobec naprawdę dobrych, kompetentnych pracowników urzędu.

RED: A nie żal Państwu odchodzić, nie czujecie smaku porażki?

E. BLACHOWIAK: Tego nie można absolutnie rozpatrywać w tych kategoriach. Jest rzeczą zupełnie normalną, że przy zmianie koncepcji politycznych, zmieniają się ludzie. Może za kilka lat znowu włączę się do aktywnej pracy w mieście.

B. BARTOCHA: Teraz zaś będziemy mieli więcej czasu na życie osobiste. Bo władza zabiera wolność i prywatność. Mogę wrócić do zarzuconej pracy doktorskiej „Udział państwa i ludności w kosztach budowy i eksploatacji mieszkań”.

E. BLACHOWIAK: A ja wreszcie będę mógł poświęcić więcej czasu rodzinie i przeproszę się ze swoją wódką. Po prostu zostajemy w tym mieście jako zwykli obywatele.

Chcę być prezydentem...

(Ciąg dalszy ze str. 1)

ko kandydata na prezydenta. Wierzę, że swymi działaniami zyskam dalszych sojuszników, z którymi będzie mnie łączył wspólny cel — dobro miasta i jego mieszkańców.

Red: Czy ma Pan jakieś asy w rękawie, na mocne wejście?

R. Doganowski: Niestety, nie pieniądze, a te przydałyby się dziś najbardziej. Przy pustej kasie miejskiej trudno snuć wielkie plany.



Fot. Kru-Kre

ny. Trzeba będzie jak najszybciej znaleźć nowe źródła jej naplania. Czym chciałbym „kupić” mieszkańców? Reorganizacją urzędu, który winien wypełniać wobec obywateli rolę służebną. Warto tu np. skorzystać z holerderskich wzorców. Chodzi mi też po głowie pomysł stworzenia w urzędzie czegoś w ro-

dzażu biura rzecznika praw miejskich. I jeszcze jedno chciałbym od razu zagwarantować — działanie administracji „przy otwartej kurtynie”. Im więcej osób będzie nam patrzyło na ręce i krytycznie, ale życzliwie oceniał — tym lepiej.

Red: Cudów Pan nie obiecuje.

R. Doganowski: Byłbym nieuczciwy, gdybym to robił. Nie czeka nas czas cudów, lecz dostosowywania ambitnych planów i zamierzeń do skromnych możliwości. Musimy być realistami.

Red: Czy „Gazeta Nowa”, która gości Państwa na swych łamach już po raz trzeci, może liczyć na jakiejś specjalne względy?

R. Doganowski: Jestem od początku Waszym czytelnikiem, ale nie uznaję kumoterstwa. Chcę być prezydentem — w równym stopniu — wszystkich zielonogórzan.

ROMAN DOGANOWSKI

Urodzony w Elblągu w 1947 roku. Znak Zodiaku — Rak. Absolwent Wydziału Geodezji Akademii Rolniczej we Wrocławiu. W Zielonej Górze od 1973 roku. Praca za wodowa: Okręgowe Przedsiębiorstwo Geodezyjno-Kartograficzne. Biuro Projektów Wodnych Melioracji (kierownik pracowni). W latach 1978-1982 przewodniczący Wojewódzkiego Zespołu Uzgadniania Dokumentacji. Posiada uprawnienia geodezyjne i prawo jazdy. Bezpartyjny. Członek Komitetu Obywatelskiego „S” i NSZZ „Solidarność”.

Żonaty (żona Regina — mgr inż. urzędnik sanitarny), dwoje dzieci: 19-letni syn Wojciech i 17-letnia córka Anna. Mieszka we własnościowym M-4 na osiedlu Łużyckim, nieopodal dotychczasowego prezydenta E. Blachowiaka. Jeździ maluchem. Najchętniej czyta political fiction. W młodości uprawiał lekką atletykę. Gra w brydża (z sukcesami na skalę ogólnopolską).

Opr. EJM

„Drogeria”

przy ulicy Świerczewskiego 72
w Zielonej Górze

oferuje
do sprzedaży

- kosmetyki
- chemię gospodarczą
- tapety papierowe i zmywalne
- stelaże i zasłony łazienkowe

Na zamówienie z dostawą do domu prowadzimy sprzedaż kompletów rynien PCW (trwałe, tanie, łatwe w montażu)

Zapraszamy, życzymy udanych zakupów.

Ogłoszenia drobne

Przedsiębiorstwo budowlane poszukuje murarzy do pracy na kontraktach zagranicznych, a szczególnie w RFN. Oferty składać w redakcji dla XI-1691.

Sprzedam Tarpana PICK-UP, rok produkcji 1982 oraz płyty promonta każda ilość, cena do uzgodnienia. Zielona Góra, ul. Batorego 29, po 18.00.

Sprzedam kompletne urządzenie: kamera ELBEX-584, 2 monitory — ELBEX, EXM-917 G pomocne przy ochronie (muzea, banki itp.) oraz podgląd tenorów otwartych dla strażników przebywających w pomieszczeniach. Urządzenie posiada ochronę przed działaniem czynników atmosferycznych. Cena 2990 DM. Oferty w redakcji.

W POSZUKIWANIU IDIOTY

ALINA SUWOROW

— Nikogo nie powinny interesować opinie ustne, czyjeś dywagacje, zapatrywania i osady. Na to wszystko istnieją dokumenty, pisma urzędowe, podpisy osób odpowiedzialnych. Tu, na dole, w prawym rogu, proszę spojrzeć... Na przykład podpis biegłego sądowego z dziedziny budownictwa, pana Gosławskiego, że prace prowadzone były zgodnie z projektem. Ja mam ten podpis, i pieczęć też. I kto to może zakwestionować? No, niech pani sama powie. Chyba tylko głupiec. Przecież taki biegły sądowy to u nas figura. To są przecież uprawnienia...

Wystawiam wreszcie nos spoza stu tysięcy dokumentów. Podpisy skaczą przed oczami. Zawieja z Zarembą, Grzegorzka z Jankowskim. Z boku prezydenci Błachowiak i Bartocha, a jeszcze dalej za nimi kierownik Szymczak, ten od nadzoru. Prokurator Rubaszewski z biegłym Gosławskim, a inwestor Makuszewski wymachuje stertą dokumentów im wszystkim przed oczami. To wszystko na tle pięknej, zabytkowej kamieniczki, zdewastowanej, zrujnowanej, znajdującej się praktycznie w stanie agonii. Kto zawinił? Kto powinien za to zapłacić?

A WSZYSTKO ROZPOCZĘŁO SIĘ...

...dość dawno, bo 19.09.1984 roku. Wtedy to PGKiM zawarł z panem Henrykiem Makuszewskim wstępne porozumienie dotyczące warunków adaptacji części strychu przy Placu Lenina 8. Dziś Makuszewski mówi o cieku wodnym, który według starej dokumentacji, przepływa tuż pod budynkiem, mówi o nieprawidłowych fundamentach. Decyzja została zatwierdzona przez architekta miejskiego pięć miesięcy wcześniej. Architekt Zawieja podpisał, a inwestor przystąpił do budowy. Miało być zgodnie z planem, zgodnie z projektem i dokumentacją. Kierownikiem budowy został Andrzej Szymczak, fachowiec z uprawnieniami budowlanymi. On miał sprawować nadzór.

— Zamiast lekkiej konstrukcji ścian postawił promonta — mówi o Makuszewskim, — Wyciął krokwie, na których opierała się cała konstrukcja dachowa, samowolnie dobudował pomieszczenia. Taras też nie był ujęty w projekcie. Wcale nie reagował na moje polecenia... — A gdzie są na to wszystko dokumenty — odgryza się Makuszewski. — Na te dodatkowe pomieszczenia, to ja mam podpis architekta. Wszystko zgodnie z prawem. Taras nie nie wskazywał. Poza tym, on (Szymczak) powinien nadzorować, udzielać mi wskazówek. On jest odpowiedzialny za całość... Czy nie przekazywał ustnie? Proszę nie ciągnąć mnie za język. Ja na wszystko mam dokumenty, mam podpisy... a od niego nie można doprosić się dziennika budowy. I o czym to świadczy, a raczej o kim?

BYŁY INTERWENCJE

— Według mnie to cwaniak dużej klasy — mówi o Makuszewskim kierownik ABM nr 4. Obstawiał się stertą dokumentów, a na większości z nich istnieją podpisy urzędników, którzy już nie pracują na tych stanowiskach. Zły stan zdrowia, przesunięcia kadrowe, i tak dalej... Ten budynek, moim zdaniem, nie spełnia wymogów adaptacji, a on wykombinował tam sobie czteropokojowe, dwukondygnacyjne mieszkanie. I co najważniejsze, na wszystkie ma dokumenty...

— Kto, do cholery, podpisywał te dokumenty — pytają współlokatorzy budynku, panowie Niewiarowski i Galingier. — Skoro podpisali to powinni teraz odpowiadać, a od dwóch lat nic się nie dzieje.

— On zniszczył nam całą chatę — mówi pan Galingier. Chciał wybudować sobie willę w centrum miasta i to na starej dziewiętnastowiecznej kamienicy. Proszę spojrzeć, zniszczył klatkę schodową, wyciął belki nośne. Ściany postawił półtora metra za fundamentem. Jego ściany stoją nie na belkach, a bezpośrednio

na moim suficie. Te pęknięcia to właśnie od obciążenia. A on twierdzi, że zgodnie z projektem. Dom, w takim razie, też wali się zgodnie z projektem...

Interweniowali w PGKiM-ie. Wspólnie z Niewiarowskim. PGKiM wystosował wówczas w sierpniu '86 pismo do Urzędu Miejskiego. Urząd Miejski pałeczkę przekazywał Makuszewskiemu. Były więc upomnienia i nakazy. Zobowiązano go, na przykład, do zabezpieczenia dachu w czasie prowadzenia prac, gdyż deszcze zalewały pomieszczenia lokatorów mieszkających niżej. Zostało to przez inwestora zlekceważone. Odwołał się natomiast do opinii innych kompetentnych, którzy potwierdzali jak najbardziej zgodność z dokumentacją. Pisał też pan Makuszewski do „Gazety Lubuskiej”, do redakcji pisma „Barjery”. Pisał, na przykład tak:

„Szanowny Panie redaktorze... Prace zakończone są do tego stopnia, że można mieszkać. Brak jedynie zgody ze strony PGKiM na przyłącze”. I na końcu łączy pan Makuszewski dużo sympatii i podziwu za „walkę z wiatrakami” a także życzy panu redaktorowi dużo zdrowia i wytrwałości. Niestety, pan redaktor okazał się być, w tym przypadku, bezsilny.

Faktem jest, natomiast, iż został on zobowiązany w lutym '88 do dostarczenia dokumentacji technicznej i poinformowany jednocześnie, że instalacja gazowa wykonana została nieprawidłowo. Faktem jest też, że dokumentacja ta nie została dostarczona do dziś. A Pan Makuszewski mówi, że jest to zbędne...

MOŻNA BYŁO ZAPOBIEC

...wystarczyło rozwiązać z Makuszewskim porozumienie wstępne po interwencjach i stwierdzeniu nieprawidłowości w adaptacji już w '86 roku mówi architekt, Andrzej Berent. PGKiM takich kroków nie podjął. Ograniczył się do informowania o istniejącym stanie rzeczy Urzędu Miejskiego. A przecież le-

żało to w ich interesie. W interesie lokatorów zamieszkających przy Pl. Lenina 8. Ale Edward Jankowski, z-ca dyrektora ds. technicznych służby jego własne ubezpieczenie w obec UM.

— Ja zawarłem tylko porozumienie i to na wniosek Urzędu. Oczekuję zatem ich stanowiska... Z mojego punktu widzenia zawinił architekt miejski. On powinien był wstrzymać prace budowlane a tego nie zrobił... A w ogóle, to daje się pozwoleń na budowę ludziom nieodpowiedzialnym. Poza tym, gdzie jest kierownik budowy? To on za wszystko powinien odpowiadać. Jego winno się pociągnąć do odpowiedzialności.

Architekt Miejski, Janusz Zawieja obecnie już nie pracuje na tym stanowisku. Zdrowie nie pozwala. Zdążył tylko wydać nakaz wykwaterowania ze względu na zabezpieczenie stropów grozących zawaleniem. Ekspertyza wykazała istnienie zagrożenia dla życia i mienia osób w nim mieszkających. Prac adaptacyjnych pomimo licznych interwencji i skarg pan Zawieja nie uważał za stosowne wcześniej przerwać.

KTO ZAWINIŁ?

Pytam o to nowego architekta miejskiego, pana Berenta. Sprawę prowadził od 1988 roku. Wtedy zaczął tu pracować. Pierwszą rzeczą jaką zrobił w tej kwestii było wstrzymanie prac adaptacyjnych. Stropy w każdej chwili mogą runąć. On doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Mówi o kretyńskich przepisach prawa budowlanego. O tym, że nie od 1974 roku się nie zmieniło. Przecież to jest mały gaj. Prawo ubezpieczenia.

Wiceprezydent Bartocha sprawę chciała załatwić polubownie. Prace Makuszewskiego oszacowano na 52 miliony. Prócz tego miał dostać M-3 z Urzędu. Budynek miała przejąć spółka CONSTECH. Ale wówczas PGKiM nie pomyślał ani trochę o swych lokatorach z Placu Lenina nr 8. Nie przygotował rachunku strat spowodowanych przez prace Makuszewskiego. A przecież punkt 13 porozumienia mówi wyraźnie, że wszystkie uszkodzenia powstałe w wyniku adaptacji obciążają wykonawcę. Koniec końców, porozumienie nie doszło do skutku.

Pan Berent twierdzi, że na początku należy umieścić samo pozwolenie na adaptację wydane bez dokładnej ekspertyzy całego budynku. Ale w 1984 taka ocena nie była wymagana i to nie, że kamienica stara, że zabytkowa. Odbijało się to tylko na podstawie oględzin, a takich dokonywali niekoniecznie fachowcy. Takich, podobno, w dziale nadzoru budowlanego jest niewielu. Za mało placą. Później za nadzór odpowiadał oczywiście kierownik tejże budowy, czyli wspomniany pan Andrzej Szymczak. Ale za opieszałość i brak konkretnych decyzji powinni odpowiadać zarówno biurokraci z Urzędu Miejskiego jak i PGKiM-u.

Fakty świadczą i o tym, że kretactwem posługiwał się też sam inwestor czyli pan Makuszewski, który sprytnie wykorzystał opieszałość i bezczynność wspomnianych urzędów.

Teraz dyrektor ds. technicznych PGKiM mówi, że budynek przeznaczony jest do sprzedaży. Kontrahent weźmie na siebie ciężar strat pana Makuszewskiego. Tak zostało to wstępnie ustalone. A jeśli taki się nie znajdzie...

Pozostaje jeszcze kwestia dwóch panów. Galingiera i Niewiarowskiego, którzy do dziś mieszkają w kamienicy przy placu Lenina 8, gdzie stropy w każdej chwili grożą zawaleniem. A jeśli runą, to kto za to zapłaci?



Fot. Kru-Kre

RZUCAŁAM PALENIE

ANNA BUŁAT-RACZYŃSKA

cz. II

Rzucić palenie? To bardzo proste! Robiłem to już setki razy — powiedział bodaj Mark Twain.

Niepowodzenie jest porażką tylko wtedy, gdy zrezygnuje się z podejmowania kolejnych prób. Dlatego postanawiam spróbować jeszcze raz. Może w końcu ostatni? Mówię sobie: przecież chcę z tym skończyć. Mam dosyć duszącego kaszlu i drapania w gardle, smrodu w mieszkaniu, pośliskich palców i firanek. Mam dosyć niepokoju spowodowanego brakiem papierosa, nerwowych poszukiwań po sąsiadach, wściekłości pod zamkniętym kio- skiem.

Adwentyści Dnia Siódmego obiecują pozbycie się nałogu w ciągu pięciu dni. Plakaty głoszą: przyjdź spróbuj!

Czwartek. Przygotowujemy się do głównej batalii z nałogiem. Na dobre wszystko ma się zacząć w poniedziałek. Jeden z kierowców za mierza palić jeszcze w niedzielę. „Dziecko idzie do komunii, będą gościć...”

Odpytujemy się z zadania domowego. Okazuje się, że niektórzy z nas puścili z dymem kilka, a nawet kilkanaście milionów złotych. „Przepalili” na przykład „analucha”, nowe meble, wycieczkę do Włoch. Liczymy teraz ile możemy zaoszczędzić, jeśli nie będziemy palić przez następnych parę miesięcy.

Wychodzi, że przeciętnie około 20 tysięcy tygodniowo, około stu — miesięcznie. Pastor proponuje, żebyśmy za zaoszczędzone pieniądze spróbowali „sprawiać” sobie miłe prezenty. Nie są to kokosy, ale starczy na przykład na zatankowanie malucha i wyjazd do miłych znajomych, albo niezłą bluzkę na bazarze. „Kupujemy” to.

Silnym jest ten, kto zwycięża innych. Wielki ten, kto zwyciężył samego siebie.
(Lao-tse)

Możemy zacząć na dobre kolejne, drugie zajęcia „odwykówki”. Pastor uświadamia nam na początek prostą prawdę. „Wszystko zaczyna się w naszych myślach i zależy od naszego nastawienia psychicznego”. I dalej — od wiary we własne możliwości. Możliwości te można spróbować na chłodno przeanalizować. Człowiek potrafi przecież osiągnąć bardzo wiele, jeśli tylko uwierzy, że potrafi. Jeśli mamy o sobie nienajlepsze wyobrażenie, jeśli w wyniku niepowodzeń i porażek, które nas spotkały, uważamy się za kogoś słabego, musimy uświadomić sobie, że owo wyobrażenie o sobie nie musi być niezmiennie. Niepowodzenia mogą zamienić się w sukcesy. W przypadku walki z nałogiem, a więc z własną słabością, mamy pole do popisu. Możemy zacząć od zara- raz.

Większość z nas jeszcze pali. Mówią o tym wprost, bo nie o to chodzi, żeby cokolwiek kryć. Jedni postanowili zacząć „rzucanie” od poniedziałku, inni od jutra. Wszyscy wciąż jeszcze palący powinni rejestrować w specjalnych rubrykach „Przewodnika metodycznego” każdy zapalony papieros. We wskazanym miejscu należy wpisać tam datę, miejsce, sytuację, w której sięgnęli po papierosa. Następnie po winni ocenić potrzebę zapalenia — czy była słaba, umiarkowana, czy też silna. Następnie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego się zapaliło i ocenić reakcję swojego organizmu: była przyjemna, obojętna, przykra?... Wszystko razem przynieść ma analizę naszego palenia i sprecyzować model. Pisanie jest dużo. Potem okazuje się, że jeśli ktoś chciał potraktować polecenie solidnie, bywało że wołał raczej nie zapalić, niż bawić się w wypełnianie rubryk. W dumanie i bazaranie.

Rozmawiamy o drodze do sukcesu. Osiągnięcie go w stu procentach zależy, jak się okazuje, od podjęcia niewzruszonej i stanowczej

decyzji o uwolnieniu się od nałogu. A więc jeszcze raz nastawienie psychiczne. Nigdy nie rzuci palenia ten, kto powie sobie, że nie prze- stanie palić i już. Także temu, kto będzie utwierdzał się w przekonaniu, że nie potrafi przestać, albo „nie wie czy może, lub nie wie jak”, będzie trudno i sukcesu raczej nie osiągnie. Szansę ma ten, kto powtarza sobie, że chciałby, a jeszcze większą ten, kto uświadamia sobie, że mógłby.

Rzuci palenie na pewno ktoś, kto wie, że może przestać i powie sobie „Przestane!”, a następnie podpisze (symboliczną oczywiście) de- cyzję, którą zamieszcza „Przewodnik”. Brzmi ona: „Podejmuję zdecydowaną walkę z nałogiem palenia tytoniu. Nałóg ten muszę przezwyciężyć. Postanawiam więc uwolnić się od papierosów. Po prostu rzucam palenie tytoniu!”

Dalej jest miejsce na własnoręczny podpis. Na sąsiedniej stronie „Przewodnika odwykowego” znajdujemy — dla osłody — „Dobrą wiadomość”. Czytamy: „Ryzyko zachorowania na raka płuc i choroby serca zmniejsza się o około 50 procent po roku niepalenia. Płuca, serce, układ krążenia i nasze pięć zmysłów za- czynają się odnawiać już następnego dnia po zaprzestaniu palenia”.

Przerwa na szklankę wody mineralnej. Pastor przypomina o konieczności picia w czasie kuracji dużej ilości niekalorycznych płynów oraz soków owocowych i orzeźwiających napojów. W przerwie możemy też kupić publikację Towarzystwa Przeciwytytoniowego typu „Zanim zapalisz — przeczytaj”. Znakomita lektura na wieczór dla potrzebujących mo- ralnego wsparcia. Można poczytać o szkodli-

wości palenia tytoniu w najróżniejszych as- pektach

Po przerwie pastor udziela nam praktycz- nych rad. Rady w szczególności dotyczą tych, którzy „chcą, ale nie wiedzą jak”. „Może ogra- nieczać? Zmniejszać liczbę wypalanych papie- rosów każdego dnia? A może spróbować jed- norazowo wypalić całą paczkę, po to, by zwy- miotować i odczuć awersję? Pastor porównu- je całą tę operację do ucinania ogona. Jak lepiej? — pyta. — Po kawałku, czy też raz, a dobrze? Co będzie mniej bolesne? Proponu- je podjęcie decyzji jak najszybciej i zaraz po- tem po prostu odstawienie papierosa. Oczywiście na zawsze.

Oglądamy film pt. „Jestem sercem Jana”. Jest zrobiony znakomicie, podobnie zresztą jak wszystkie pozostałe oglądane przez nas tutaj filmy. Wszystkie powstały w kalifornijskiej „Szkole zdrowia” — bardzo szczegółowo i o- obrazowo przedstawiają pracę poszczególnych organów, na funkcjonowanie których palenie- tytoniu wywiera szczególnie niekorzystny wpływ.

Oddziałują również sugestywne. Serce Ja- na nie może prawidłowo pełnić swoich funk- cji, szwankuje, a niektórzy co wytrawniejsi palacze patrząc na to, co się z nim dzieje, odczuwają duszności, mają chwilowe trudno- ści z oddychaniem...

Zadanie domowe na poniedziałek, kiedy to „odwykówka pięciodniowa” rozpocznie się na dobre. Na kartkach (odbite na powielaczu), otrzymujemy polecenia spisane w punktach. Mamy m.in. wypełnić kwestionariusz pt. „Ty py palacza” oraz odpowiedzieć na pytanie „Dla- czego wybrałem życie człowieka wolnego od papierosowego uzależnienia”. Mamy zaopatrzyć domową lodówkę w większą ilość soków, sy- ropów, mrożonych albo świeżych owoców. Od poniedziałku musimy jeść, pić i spać jak za- wodnik przygotowujący się do wielkich zawo- dów. Najodważniejsi mogą pójść do dentysty m.in. po to, by oczyścić zęby z kamienia nazęb- nego.

Siódme polecenie brzmi: „Dokładnie obser- wuj ludzi niepalących. Rejestruj ich sposób by- cia i zachowania. Zaczynaj wyobrażać sobie się- bie jako wolnego od nałogu, naśladuj w myśl- ach zaobserwowane zachowania innych”.

W kolejnym poleceniu zachęca się nas do wyobrażania sobie sytuacji, w których będzie- my dziękowali za papierosowy poczęstunek. Także do przemyślenia zachowań w sytuacjach, w których dotychczas zawsze sięgaliśmy po papierosa.

Pastor delikatnie zwraca nam uwagę — na do widzenia — że warto byłoby jak najprę- dziej podjąć decyzję o rzuceniu palenia. Do- brze jest nawet wyznaczyć sobie dzień ostat- niego papierosa. „Byłoby wspaniale gdybyś- cie państwo przyszli tu w poniedziałek jako ludzie, którzy właśnie rzucili palenie”.

Ostatnie z poleceń trochę bawi, choć podob- no jest jednym ze sprawdzonych punktów programu „pięciodniówki”.

CDN



Fot. Cz. Luniewicz

KILKA GODZIN W EUROPIE

JACEK PATALAS

Z Zielonej Góry do Europy jedzie się przez Leśniów Wielki, Krosno i Cybinkę. Przed Słubicami należy skręcić w kierunku Świecka. Tam właśnie kończy się Polska. Przed przejściem granicznym, na szosie stoi karawana autobusów. Dzisiaj, prócz Zielonej Góry jest i Bydgoszcz, Pila, Toruń, Olsztyn, Bielsko-Biala, nawet „Cukrownia Przeworsk” wysyła swoich ludzi „w delegację”.

Do spotkania z wopistami i celnikami jeszcze trochę czasu. Z pojazdów wychodzą zmęczone postacie i natychmiast forsują dużą skarpę, byle prędzej do lasu... Lasek, niestety gęsty nie jest i wiele ukryć nie potrafi. Panie, zrezygnowane bez skutecznym poszukiwaniem ustronnego kąca już nawet się nie krępują obecnością mężczyzn. Współtowarzyszy podróży. Stąpać trzeba ostrożnie, by w zapadającym zmroku nie spłoszyć właścicielki białej pupy...

Tymczasem wzdłuż autobusów powstała wcale długa promenada. Ci z Kętrzyna zapuszczają się pod Włocławek, Bydgoszcz brała się z Pila, a zielonogórzanie szukają swoich. Panie, już rozluźnione obnoszą stroje w jakich pokażą się w Europie, a niektórym panom wszystko już obojętne — dokąd, z kim i po co jadą.

Berlin. Druga w nocy. Przed dworcem, na kawałkach tektury, stertach gazet leżą, przy kryci kocami obywatela bezdomni. Obok rozłożyła się cała rodzina. Starsi coś jedzą, a ma luchy baraszkują na koczowisku, wśród wczorajszych puszek, butelek i papierosowych opakowań.

Reichstag. Brama Brandenburska (w remoncie) i chwila zamyślenia przy białych krzyżach z wypisanymi nazwiskami ludzi, którym nie dane było doczekać upadku muru...

Z kolorowych plakatów spogląda Madonna. Pierwszego lipca wystąpi w Berlinie, a na razie obróciła się plecami, oczy ma tajemniczo półprzymknięte, usta obiecująco rozchylone. Spojrzenie Sophie Marceau z jej nowego filmu także przykuwa uwagę, choć przyklejone jest do drewnianego płotu.

Panienka na Kurfürstendammstrasse nie ma walorów obu gwiazd. W ogóle wygląda nieciekawie. Oparta jedną nogą o stęp pali papierosa, patrzy gdzieś przed siebie. O nie bo korzystniej prezentują się manekiny w sklepowych witrynach. Elegancko ubrane, do brzo odżywione, jakby zadowolone z siebie, siedzą, stoją i przypierają inne ludzkie pozy.

Czwarta. Już świta. Przy Sigismundstrasse rząd autobusów. Wewnątrz, snem zasłużonym, niewygodnym i czujnym śpi Bydgoszcz, Żagań, Legnica, Jelenia Góra, Międzyrzecz. Czujnym, bo niebawem trzeba będzie ustawić się pod „Plusem” czy „Aldim” z torbą, plecakiem i dwukółkowym wózkiem. Co bardziej odporni stoją już od kilku godzin — „Cholera, wszystko nam wykupią” martwi się pani w dresie i wraz z mężem podbiega co kilka kroków, widząc z oddali kilkunastoosobową kolejkę pod zamkniętymi jeszcze drzwiami.

W małych, przytulnych lokalach przy Potsdamerstrasse już tylko kilka samotnych par. Bier kosztuje 1,50 DM. Grupa pijanych młodzieńców z głośnym łomotem turla po chodniku znak drogowy wyrwany przed chwilą ze słupa. Ale heca! Śmiechu co niemiara. Z każdą minutą stają się bardziej agresywni i zaczynają zaczepiać przechodniów.

O szóstej w autobusach pozostają już tylko kierowcy. Wycieczki odliczają minuty do otwarcia sklepów. Najwcześniej kupić coś można na tureckim bazarze. Plac ogrodzony drucianym płotem, Turcy wynoszą swój towar z samochodów, układają na straganach. Najwięcej elektroniki — telewizory, radiomagnetofony, odtwarzacze. Na kilku połączonych straganach leżą znoszone i pogniecione skórzane i zamszowe kurtki, kurtki, płaszcze. „Prosie bardzo, dziś bardzo tanio, jutro bardzo drogo, wsisko po sieć marek”, woła lysawy Turek, widać bardzo zadowolony z siebie i swojej polszczyzny. „Prosie pieniądze” — przypomina tym, którzy już wzięli, a nie zapłacili.

Nieopodal inny bazar. Język tu swojski, twarze jasne, spojrzenia nieśmiałe. Towar leży na ziemi — bielizna, porcelana, kryształ, tandentne zabawki, długopisy, jest polska wódka, bibeloty i elementy munduru żołnierza radzieckiego — czapki, pasy, bu-

ty, naszywki, odznaki. Zdeterminowany jegomość proponuje kupno stroju galowego polskiego leśnika...

„Plus” o dziewiątej pełen ojczywej mowy. Kartony „Hansy”, kilogramy czekolad, „Fanty”, soki, słodycze — wszystko to znika w czeluściach toreb i plecaków. „Pani! Jeszcze reklamówkę” mówi starsza kobiecina do młodej kasjerki. „Bitte” z ironicznym uśmiechem dziewczyna podaje plastikową torebkę. Dwaj kilkunastoletni chłopcy ciągną wózek z kartonami puszkowego piwa. „Ty, wy pijmy po jednym!” — „Coś ty, chory, ojciec by mi dal popalić”. Wózek poturlał się dalej.

Chodnikiem człapie czteroosobowa rodzina. Śmiertelnie zmęczone dzieciaki (to już jedenasta) prawie ciągną dwie wypchane do granic wytrzymałości torby. Matka — tłusta i spocona, o twarzy zniszczonej codziennością, pcha wózek zapakowany pudełkami i pudłami. Głowa rodziny, łysiejący grubas, też z torbami, ma już dość. Zatrzymuje się, ociera pot z czoła. Smętnie spoziera na „frunąca” z przeciwną młodą, ładną brunetkę. Wysoka, długonoga, w króciutkich, fachowo obszarpanych spodniach i czarnych rajstopach w kratkę, budzi zainteresowanie całej ulicy. Oglądają się wszyscy.

Panie, a gdzie tu ubikacja — pyta młode ubranego szatniarza w berlińskiej galerii jakaś starsza kobieta. Dzięki Polakom, frekwencja w tej galerii zwiększyła się kilkakrotnie.

O piętnastej wycieczka w komplecie. Twarze uśmiechnięte, zarost dwudniowy, portfele puste, bagażniki pełne. Puszka piwa w dłoni „Żeby tylko nie było kontroli” — mruczy jegomość z tyłu. Kontroli nie ma.

Teraz panie kierowco szpula, może jeszcze zdążymy na mecz” — wołają kibice, już uspokojeni polskimi nazwami na tablicach i drogowskazach. Z Europy do Zielonej Góry najszybciej jedzie się przez Cybinkę, Krosno i Leśniów Wielki.

Charlie znika...

WOJTEK MRÓZ

Punkt graniczny na Friedrichstrasse słynny „Checkpoint Charlie”, symbol brutalnego podziału miasta, miejsce spektakularnych ucieczek, demonstracji i głodówek, wreszcie wydarzeń, które 29 lat temu 16 godzin trzymały świat w napięciu: będzie konflikt wojenny, czy też da się go uniknąć — przestaje istnieć.

„Checkpoint Charlie” otrzymał swoją nazwę wg alfabetu — „C” jak „Charlie”. „Checkpoint Alpha” znajduje się w Helmsdorf, a „Brawo” w Dreilinden.

„Checkpoint Charlie” leżący w sercu Berlina, szybko po zbudowaniu muru stał się miejscem, gdzie supermocarstwa skrzyżowały swoje szable, a świat zadrżał w obawie przed konfliktem wojennym. Po tym jak kontrole graniczne sektora sowieckiego zaczęły, wbrew poprzednim postanowieniom, kontrolować i szykanować pojazdy amerykańskie, szef misji wojskowej Allan Lightner 23-go października 1961 r. (22.08.1961 r. powstał mur-przyp. aut.) demonstracyjnie swoim autem, eskortowanym przez osiem wozów pancernych, przejechał przez granicę. Sytuacja stała się napięta, na odległym od „Charliego” kilkaset metrów Mehringplatzu, pozycje zajmują amerykańskie czołgi.

27 października 1961 r. o godz. 18, w odległość 200 metrów, po dwóch stronach granicy z lufami skierowanymi przeciwko sobie ustawiają się czołgi sowieckie i amerykańskie. 16 długich godzin trwają pertraktacje, po

których świat odetchnął z ulgą, czołgi odjechały, ale dokładne zamurowanie trzech sektorów Berlina stało się faktem. Amerykanie za cenę uniknięcia konfliktu zbrojnego z nieobliczalnym Chruszczowem zgadzają się na podzielenie miasta.

Świadkiem tego wszystkiego był „Checkpoint Charlie”. Miejsce to przeżyło również wiele spektakularnych ucieczek, które często kończyły się tragicznie. Symbolem ich jest ucieczka Petera Feichtersa mająca miejsce 17 sierpnia 1962 r. Postrzelona ofiara leżąc pod murem i wołając o pomoc, na oczach setek zachodniobерлінczyków, którzy nie mogli udzielić pomocy, po 50 minutach wykrwawia się. Dopiero wtedy po zwłoki zjawiają się mordercy spod znaku Waltera Ulbrichta.

Na „Checkpoint Charlie” odbywały się przez różne demonstracje i głodówki mające różne cele np: udzielenie zezwolenia na odwiedzin bliskich w NRD, możliwość wyjazdu, protest przeciwko łamaniu praw człowieka w NRD i brutalnym metodom „Stasi”, łączenie rodzin. W miejscu tym demonstrowano przeciwko zbrojeniom, na rzecz pokoju jak też przeciwko stanowi wojennemu w Polsce i brutalnemu zdeptaniu „Solidarności”. Przez 29 lat „Checkpoint Charlie” był jakimś symbolem miasta, ale symbol ten kojarzy się z kontrolami, szykanami, ucieczkami, tragedią i podziałem.

Zniknięcie tego „zabytku” niechłubnej przeszłości nie wywoła u nikogo uczucia żalu.

JERZY TUREK

ROZMAWIA BOGDAN KUNCEWICZ SPECJALNIE DLA „GN”

BOGDAN KUNCEWICZ: Jeden z aktorów mówią o Panu powiedział: „ten to zawsze wali prosto z mostu.” Czy rzeczywiście jest Pan aż tak bardzo bezpośrednim człowiekiem?

JERZY TUREK. Na scenie chyba tak. Zagrałem dużo ról ludzi, którzy nie lubią owijać w „bawełnę”. Natomiast, w życiu codziennym nie jestem bardzo bezpośrednim osobnikiem. Często brakuje mi odwagi, aby tak jak pan powiedział „walić” prosto z mostu.

B.K. Brakuje Panu odwagi, czy też kompleksy nie pozwalają na naturalność?

J.T. — Każdy człowiek nosi w sobie kompleksy — większe lub mniejsze. Człowieka bez pośredniego cechuje odwaga, pewność siebie, często aktywna witalność. Jestem człowiekiem, który nie chce urazić drugiego poprzez swoją bezpośredniość. Często słowa w garde kłkaniem stają, gdy mam komuś powiedzieć kilka mocnych zdań. Staram się być na co dzień człowiekiem łagodnym i tolerancyjnym. Nigdy nie należałem do ludzi walczących o cokolwiek, bardzo często ustępowałem innym, czy jak pan woli, poddawałem się.

B.K. — Nie sądzi Pan jednak, że bezpośredniość jest rodzajem talentu?

J.T. — Nie wiem. Natomiast wiem, że każdy artysta talent po swojemu definiuje, często nagią do swojej osobowości. Uważam, że aktor do pewnego poziomu twórczego, pewnej otwartości na scenie, bycia przekonującym w odbiorze przez widza, dochodzi jedynie pracą i doświadczeniami życia codziennego.

B.K. — A jakie elementy zadecydowały o poziomie Pańskiego aktorstwa?

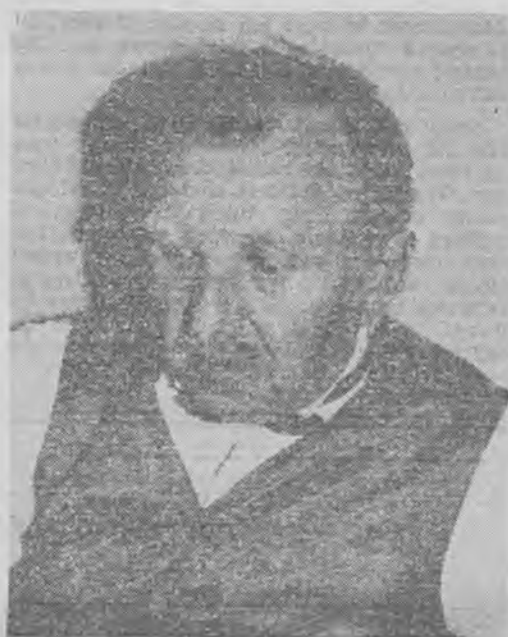
J.T. — To znów trudne pytanie. W początkowej fazie mojej pracy w tym zawodzie myślałem, że tymi elementami są: „łatwość” uzyskiwania efektów prawdziwych — tzn. bycie autentycznym na scenie, granie siebie. Ale z biegiem czasu doszedłem do wniosku, że wierne odtwarzanie siebie jest niemożliwe, ponieważ nigdy do końca człowiek siebie nie zna. Nie wie, jak zachować się w takiej czy innej sytuacji. Być może „wielkie” aktorstwo polega na graniu postaci przefiltrowanych przez własną osobowość, tak żeby pokrywała się ze scenariuszem i osobowością danego aktora.

B.K. — Czyli chciał Pan by Pańskim emploi był pewien sposób szczerości: nie grać lecz być sobą?

J.T. — Szczerze mówiąc, grywałem role, które mi odpowiadały ze względu na charakter, osobowość, stosunek do życia, do świata, do ludzi. Nie miałem wówczas kłopotów z wiekiem, a sam wygląd zewnętrzny predystynował mnie do grywania osobników bardzo typowych, zachowujących się dość normalnie. Wkładałem jedynie kostium i starałem się grać postać przefiltrowaną przez osobowość Jerzego Turka. Oczywiście, mówię o filmie, ponieważ w teatrze różnie bywało.

B.K. — A dlaczego ostatnio coraz mniej wi dać Pana na dużym i małym ekranie?

J.T. — Może wszedłem w taki wiek, który mnie wyeliminował... Ale nie czuję, żebym był gorszym aktorem niż dwadzieścia lat temu. Cóż, postarzałem się, zmienił się mój wygląd zewnętrzny, na moje miejsce przyszli inni aktorzy. Wierzę jednak, że czekają na mnie jeszcze inne, wspaniałe role. Mam na to dowody.



Fot. T. Wyszynski

dy, bowiem w filmie gram już starszych mężczyzn — często ojca dorosłych już dzieci.

B.K. — Czyli nadal czuje się Pan aktorem niespełnionym?

J.T. — Wydaje mi się, że prawdziwy artysta do końca nigdy nie będzie czuł się spełniony. Trzeba mieć bardzo małe ambicje, albo bardzo dobre samopoczucie, żeby być z siebie zadowolonym i każdemu powtarzać: ja już się zrealizowałem. Z własnego doświadczenia wiem, że gdy aktor skończy jedną rolę, często z efektu końcowego jest niezadowolony, a już rozgląda się za następną propozycją. Nowa rola jest zawsze wielką niewiadomą. Cieszyłbym się bardzo, gdyby u nas istniała możliwość planowania na dziesięć lat zajęcia. Mielibyśmy wówczas poczucie luksusu, wiedziałbym, co w przyszłości będę robił. Niestety, tak nie jest. Wciąż nie wiem, co będę robił w teatrze w przyszłym sezonie, i czy sztuki, które sobie za planowałem dojdą do skutku.

B.K. — A w filmie?

J.T. — W filmie istnieje jeszcze większa nie pewność, tutaj nie się nie planuje. Oczywiście, że są wyjątki wśród aktorów, którzy mają szczęście, wiedzą, co będą robić za pół roku względnie za rok. Ostatnio też miałem taką propozycję. Ale był to zbieg okoliczności. Kręciliśmy jedną część filmu, potem scenarzy sta z reżyserem dopisali drugą i już było wiadomo, że kiedyś sięgną po ten scenariusz.

Wielkim mankamentem jest w naszym kraju to, że nie pisze się scenariuszy pod aktorów, nie wykorzystuje do końca umiejętności i predyspozycje wielu wspaniałych moich kolegów.

B.K. — Do zawodu trafił Pan prosto z fabryki samochodów, wraz z Wojtkiem Pokorą. Czy jest Pan zadowolony z tego wyboru?

J.T. — Wówczas były takie czasy, pewna moda, ciąg młodzieży do nauki. Początkowo wspólnie z Wojtkiem Pokorą chciałem iść do szkoły oficerskiej — ba, mieliśmy nawet wypełnione kwestionariusze... Ale tak się złożyło, że po rozmowie z Jerzym Tkaczykiem od-

mieniły się nasze gusta i zdecydowaliśmy się pójść do szkoły aktorskiej. Czy żałuję swojego wyboru? „Chyba nie, nam obu akurat się udało”.

B.K. — Czy szkoła aktorska jest potrzebna do uprawiania tego zawodu?

J.T. — Na ten temat istnieje wiele sprzecznych teorii, różne wybitne osobowości podejmowały polemikę w tej kwestii, i każda z nich miała po części rację. Jeżeli chodzi o moje zdanie, to uważam, że szkoła aktorska jest nieodzowna. Oczywiście, wyjątki potwierdzają regułę. Są aktorzy, którzy grają jedynie w filmie, osiągają wspaniałe rezultaty i często po zagranium kilkudziesięciu ról filmowych zdają eksternistycznie egzaminy, stając się w pełni profesjonalistami. Ale są to wyjątki. W teatrze taka sytuacja w ogóle nie ma racji bytu. Tu sama forma sztuki wymaga innego rzemiosła, artysta ma bardzo dużo do powiedzenia poprzez swoje umiejętności.

B.K. Czy nie sądzi Pan, że następuje teraz moda: „młodzież aktorska” stawia jedynie na film, jako jedyną szansę osiągnięcia sukcesu?

J.T. — Nie przypuszczam. Proszę zwrócić uwagę, ilu u nas młodych ludzi tak naprawdę robi karierę w filmie. Są to przecież jednostki.

B.K. — Często mówi się o Panu — aktor komediowy.

J.T. — I słusznie, zwłaszcza jeżeli chodzi o film. Ale mimo to zawsze bardzo się cieszę kiedy gram coś „niekomediowego”. Przez szereg lat byłem związany z teatrami, które nie wspólnego nie mają ze sztuką komediową: byłem w Teatrze Narodowym, Teatrze Rozmaitości czy wreszcie Polskim. W każdym z tych teatrów czułem się bardzo potrzebny.

B.K. — Lansuje Pan bardzo specyficzny rodzaj komedii polegającej na banalnym, prostym słowie.

J.T. — Może wynika to trochę z mojej osobowości. Tak jak już powiedziałem, moje cechy osobowe zawsze miały dużo do powiedzenia w moim aktorstwie, niejako mną kierowały. Powszechnie wiadomo, że w komedii gra się dużo trudniej niż w dramacie, trudniej rozbawić niż zasmucić.

B.K. — Co Pan sądzi o polskim poczuciu humoru? Czy w tej dziedzinie też jesteśmy jedynie przedmieściami Europy?

J.T. — Mamy poczucie humoru i to bardzo duże. Ono znacznie różni się od niemieckiego, rosyjskiego czy angielskiego — jest bardziej wysublimowane. Niestety, czasy mamy dość trudne, drapieżne i chyba ten humor na co dzień jest mało dostrzegalny.

B.K. — Dość wysublimowany humor prezentował Pan w komedii: „Gdzie jest generał”. Wydaje mi się, że widzowie najsympatyczniej wspominają Pańską rolę w tym filmie.

J.T. — Rzeczywiście, jest to jedna z najbardziej udanych ról jakie zagrałem w filmie. Ilekroć telewizja emituje ten film, to zawsze wydaje mi się, że nadal wspaniale przy nim można się bawić.

B.K. — Ja odbieram go jako nudną, statyczną komedię. Wydaje mi się, że powód tkwi w tym, że mamy zbyt dynamiczne czasy i niektóre filmy zdaktualizowały się w swojej wymowie artystycznej.

J.T. — To prawda, film można nazwać statycznym i chyba brakuje mu szybkości. Był robiony zupełnie inną techniką. Ale powtarzam, nadal jest to dobra komedia. Ludzie chcą oglądać tego typu produkcje.

B.K. — Aktorzy skarżą się, że czas szybko płynie w ich profesji. Czy i Pan żałuje tych lat?

J.T. — Żałuję, że byłem za bardzo zaabsorbowany zawodem. Zbyt mało czasu i uwagi poświęcałem rodzinie. Trwonilem swoje zdrowie, eksploatowałem grając role, które tak naprawdę, z perspektywy czasu, niewiele mi dały.

Kondotierzy (6)

RAFAL GAN-GANOWICZ

BOMBKI BEZ CHOINKI I FAJERWERKU W SYLWESTROWĄ NOC

Chytrze zaplanowana ofensywa czerwonych załamała się. Po czterogodzinnej walce niedobitki rebeliantów wycofały się w nieładzie zostawiając za sobą zabitych i rannych. Ranni czołgali się w dżungli, by tam znaleźć schronienie przed nami. Umierali z upływu krwi, bez ratunku i pomocy. Biedne, oglupiałe ofiary propagandy swych przywódców, którzy im opowiadali brednie o naszym rzekomym okrucieństwie. Zdobyliśmy masę broni. Właściwie po tej nocy sylwestrowej nasz przeciwnik już nigdy na moim odcinku frontu nie odzyskał sił i sprawności. Bo wszystko zaczęło się w Sylwestra 1965.

Właściwie już na Boże Narodzenie posypała się nam na głowę grad pocisków z sowieckich moździerzy 60 mm. I to w momencie, gdy ojciec M., nasz przyjaciel i duszpasterz, mówił nam o pokoju między ludźmi. Księdzu M. zrobiłem dzięką awanturę za to, że przyjechał na naszą placówkę na rowerze! Taka nieostrożność 25 kilometrów drogą, na której prawie codziennie zdarzały się zasadzki.

„Czyś ty zwariował? — pytam — Nie mogłeś zażądać przez radio eskorty? Któż to widział tak się narażać?”

„Nie boję się niczego — odrzekł beczelnie księżuło — bo mam to...” i wskazał ręką na wiszący u pasa drewniany krzyż. „A jeśli by to nie pomogło — dodał po chwili — to jeszcze mam to!” Uchylił polity białego habitu ukazując naszym zdumionym oczom ogromne go colta magnum. „A was lajdaki, nie mogłem przecież w Wigilię bez religijnej pociechy zostawić” — zakończył tyradę. I gadał tu z takim.

Że nam w samą noc wigilijną „walczący ateizm” sowieckie pociski na leb sypał — to normalne. Wiele szkody nie było, bo strzelcy z nich kiepscy, a obserwatorzy woleli się „nie wychylać”. Za to wyginęło sporo szympanсів w dżungli. Potem to jakoś ucichło. Myśleliśmy, że to koniec. Toteż w sylwestrową noc pozwoliłem się wszystkim wolnym od służby zebrać w sali placówki i uczcić Nowy Rok „jadłem i napojem”. Oczywiście zabawczy przedtem o stan pogotowia tych, którzy ślepy los w mojej postaci wyznaczył na służbę...

W ciągu wieczora towarzystwo zdążyło sobie już nieźle pogazować i dawać mi prosić, bym im pozwolił o północy urządzić fajerwerk. Faktycznie mieliśmy w naszym wyposażeniu trochę pocisków świetlnych do moździerza, takich co potem opadają na spadochronie i blaskiem magnezji oświetlają okolicę. Było też sporo amunicji świetlnej do broni ręcznej i maszynowej. Były też różnokolorowe rakietki sygnalizacyjne i odpowiednia rakietnica w moim posiadaniu. Błogosławiona moja słabość! Po kilku głębszych — wstyd przyznać — pozwoliłem.

Huknęło, strzeliło, posypały się kolorowe paciorki serii z karabinów maszynowych. Pękały kolorowe rakietki. A nad wszystkim zawisły jaskrawe lampiony magnezjowych pocisków moździerza!!! 14 lipca w Paryżu to szczytniak! Karnawał w Rio to frajer. Cieszyły się dusze nasze. Ale króciutko. Bo nagle jak nie gruchnie, jak nie zacznie świstać. Rożnęły się dzikie ryki: „Mulele maj!”

Wytrzęśliśmy w jednej chwili. Przedpole oświetlone sylwestrowym fajerwerkiem aż roilo się od atakujących. Chytrze podszli nas w nocy licząc, że sylwestrowe libacje uspią naszą czujność. I mogło się to skończyć dla nas tragicznie. Wstyd przyznać, a

takiej ewentualności nie wziąłem pod uwagę. Czego chytrusy nie przewidzieli, to naszego fajerwerku! Zaskoczyliśmy ich niechcący, ale za to kompletnie. Myśleli, że zostali wykryci i zaatakowali nas przed czasem. Zaskoczenie było po ich stronie. O rany, jakie wycisk dostali w tę sylwestrową noc. Opatrzność czuwa nad pijakami. A może to modlitwy księdza M.?

Nowy rok zaczął się dla nas pomyślnie. Nie dla wszystkich. Musiałem ukarać francuskiego sierżanta nazwiskiem Alain Fabregon. Ten młody żołnierz chciał nam zaimponować odwagą i na otwartej przestrzeni, w pełnym oświetleniu, odwrócił się tyłem, ścigał spodnie i pokazał wrogowi... odwrotną stronę medalu! Za ten wybryk ukarałem go zakazem brania udziału w akcjach przez tydzień. Alain zginął znacznie później w zasadzce. Poległ, spełniając z poświęceniem swój żołnierski obowiązek bez wyglupów i na trzeźwo.

Na tropach dawnej Zielonej Góry



Abbildung 88
Heiliger-Geist Kirche (Grünhagen).

Fundacja rodziny Beucheltów

Mniej więcej od połowy XVIII wieku Zielona Góra była miastem zdecydowanie protestanckim. Jedyny istniejący w mieście kościół tej konfesji — obecny pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej — nie wystarczał. Musiało upłynąć ponad sto lat, aby idea budowy nowej świątyni mogła zostać urzeczywistniona. Stało się to za sprawą Georga Beuchelta, właściciela zielonogórskich zakładów budowy maszyn i konstrukcji stalowych, który w swoim testamentie zapisał sumę 50 tysięcy marek w złocie na potrzeby wzniesienia kościoła ewangelickiego w Zielonej Górze. Na

Bezsprzecznym zwycięzcą owej pamiętnej bitwy był nasz dostarczyciel jada i napojów — starszy sierżant Konopka. Konopka, stary wyga z Legii Cudzoziemskiej, dostał się do mojego oddziału kilka miesięcy wcześniej. Zrobiłem go podoficerem zaopatrzeniowym. Byłem chyba w natchnieniu. Konopka był genialnym kombinatorem. Dawał i brał łapówki. Umiał znaleźć rzeczy, których nigdzie nie ma. W kraju, w którym nawet kartofle były sprowadzane drogą lotniczą w pełnej dżungli afrykańskiej jedliśmy w noc sylwestrową... ostrygi i popijaliśmy szampanem. A później... fajerwerk. Błogosławiony fajerwerk!

Zasługi sierżanta Konopki nie ograniczały się oczywiście do spraw żołądkowych. Dzięki temu mistrzowi kombinacji mój oddział był najlepiej zaopatrzony w całym Kongo. Konopka potrafił znaleźć wszystko. Nietypową amunicję do starych wiekiersów, części do samochodów, benzynę, lekarstwa i tysiące różnych rzeczy, potrzebnych do prowadzenia wojny w znośnych warunkach. Konopka wyszedł z Konga z życiem, cały i zdrowy. A tak że z dużą forszą. Straciliśmy go z oczu. Ale ten mistrz prywatnej inicjatywy nie zginął na pewno. Wybierał się do Stanów. Pewnie jest milionerem.

W Kongo ziemniaki — ze zrozumiałych przyczyn — były droższe od pomarańczy. Po pularne oszustwo polegało na tym, że w worku z „kartoflami” tylko wierzchnią warstwę stanowiły rzeczywiście ziemniaki, a resztę — pomarańcze. Trzeba było kontrolować każdy worek!

CDN.

wykonawcą swojej ostatniej woli wyznaczył siostrę, panią Liddy Beuchelt, która z wielką energią zabrała się do realizacji idei zmarłego 17 sierpnia 1913 roku brata.

Mimo trwającej wojny Fundacja Budowy Kościoła pod wezwaniem Najświętszego Zbawiciela została zarejestrowana sądownie w pierwszą rocznicę śmierci Fundatora — w sierpniu 1914 roku. Do współpracy Liddy Beuchelt zaprosiła dwóch znakomitych architektów — Wilhelma Hossfelda i Wolfganga Wagnera — z Berlina. Kierownictwo budowy powierzyła inż. Kurtowi Dinklerowi z Essen. Kompleksowe wykonawstwo oddano w ręce zielonogórskich rzemieślników: prace murarskie prowadził mistrz Karl Lorenz; ciesielskie — Gustaw Streicher; ślusarskie — Emil Pruefer; szklarskie — Otto Hoffmann; konstrukcje stalowe — firma Beuchelt. Teren pod budowę udostępnił dwaj zielonogórcy mieszczaństwo: Johann Pilz i Adam Brauer.

Kamień węgielny położono 19 maja 1915 roku, a 8 kwietnia 1916 roku kościół był już pod dachem. Tempo zaiste zawrotne zważywszy, że obiekt wznoszono w warunkach wojennych, a jego parametry nie należały do małych: ogólna powierzchnia hali 1230 m kw; długość 47 m; szerokość 23 m a wysokość od 10 do 26 m. Była to, jak na warunki zielonogórskie, budowla najbardziej monumentalna.

Organy dwumannualne, ośmiorejestrowe, za mówiono w firmie Gustawa Heinze w Zarach, a dzwony w odlewni Sylwestra Prokscha w Bochum. Absolutnym nowum było zastosowanie systemu centralnego ogrzewania, wykonanego przez zakłady Beuchelta. Zegar na wieży, o średnicy 3 m, wykonał zielonogórski mistrz August Hansmann.

Pierwsze nabożeństwo, połączone z uroczystym wyswieceniem kościoła, odbyło się 3 stycznia 1917 roku. Obok swoich podstawowych funkcji, dzięki znakomitym walorom akustycznym, kościół Najświętszego Zbawiciela służył miastu także jako sala koncertowa kościelnej muzyki oratoryjnej. Warto przypomnieć, że 3 listopada 1926 roku odbył się w tym kościele koncert oratoryjny z udziałem Feliksa Nowowiejskiego, a wykonywano jego słynne oratorium „Quo vadis”.

JERZY PIOTR MAJCHRZAK

Drugie narodziny Igora M.

ANNA BUŁAT-RACZYŃSKA

Choć nie ma nic do ukrycia ani też powodu, by wstydzić się czegokolwiek, Igor prosi, aby nie ujawniać jego nazwiska. Nie szkodzi, że jest daleko od kraju, setki kilometrów od jednego z obwodowych miast na Białorusi, gdzie mieszka. Ma swoje prywatne powody, żeby się całkowicie nie odkrywać. Nie będzie o nich mówił, można się co najwyżej domyślać. Może to być „rutynowy” lęk „z przyzwyczajenia”, albo przekonanie, że nie należy wywyższać się i wyróżniać z tłumu.

— Ilu jest takich jak ja? Pewnie wielu — zastanawia się. — Tylko tych Kaszpirowskich i Harrisów można policzyć na palcach. Igor nigdy nie myślał o tym, by być popularnym i obleganym jak oni. Zamierza robić swoje cicho i spokojnie. Na miarę swoich możliwości.

Bez wzwględu na to co powiedzą ludzie wokół i najbliżsi. A mówią, że bardzo się ostatnio zmienił. Że „idzie w niedobrą stronę”. Bliscy niepokoją się o niego. On sam przyznaje, że żona nie chce żyć z kimś, kto „postradał zmysły”.

Igor zawsze był człowiekiem bardzo spokojnym i zrównoważonym. Miał naturę ścisłowca. Skończył technikum, a potem studiował elektronikę w instytucie w swoim mieście. Doktoryzował się przed kilku laty w Leningradzie. Jest specjalistą również od techniki obliczeniowej i mierników elektrycznych. Wykłada informatykę na wyższej uczelni. Opatentował dziesięć wynalazków.

I żyłby sobie pewnie spokojnie między domem, a uczelnią w świecie dotykającym, materialnym i „sprawdzalnym”, gdyby do jego miasta nie zawitał przed kilkunastoma miesiącami pewien polski zespół folklorystyczny. Jeden z członków tego zespołu bawił się wahadłem. Igor to zobaczył i tak się wszytko zaczęło.

Popadł z duszą w całkiem inny świat, którego istnienia nie przeczuwał. Został radie-

stetą, spróbował swoich sił w leczeniu bio-prądami. Zaczął „wymachiwać rękami w powietrzu i wykonywać różne inne dziwne gesty” — tak jest to postrzegane przez postronnego widza.

— To, co robię teraz rzeczywiście kłóci się z tym wszystkim, czego uczono mnie przez całe lata — mówi Igor. — Zawsze ważny świat materialny, widzialny, dotykalny. Innego nie było. Ja dopiero teraz uświadomiłem sobie, że ten drugi świat istnieje. Że jest Bóg...

Polak z zespołu folklorystycznego przysłał potem Igorowi cały pakiet broszur i książek na interesujący go temat. W tej nie zwykłej literaturze Igor utonął po uszy. Ku zmartwieniu żony i córki. Wsiąkł.

Dopiero niedawno powstało w Związku Radzieckim Towarzystwo Psychotroniczne. Na pierwszą wschodnią konferencję, która odbywała się przed rokiem w Moskwie i zgromadziła półtora tysiąca zainteresowanych, Igor pojechał jako obserwator. Z kolegą — inżynierem z zawodu, rencistą, różdżkarzem.

— To było niezwykle przeżycie — wspomina. — Rozmowy z tymi wszystkimi ludźmi, wymiana informacji, obserwowanie różnych doświadczeń i pokazów.

Po powrocie do domu, Igor sporządził sobie wahadło. Nieduży, drewniany koralik

na nitce. Zaczął próbować. Przyjechali znajomi, rodzina. Zaproponował im doświadczenie. Odpowie przy pomocy wahadła ile każdego z nich brakuje zębów. Na dziesięć przypadków odgadł osiem.

Nawiązał kontakt z pewną kobietą z Ukrainy, która leczy ludzi energią. „Nie tylko własną. Również tą kosmiczną”. Pojechał po naukę. Raz, a potem jeszcze kilkakrotnie. Ochrzcił się w obrządku prawosławnym. Mówi, że uwierzył w Boga i ta wiara pomogła mu w niesieniu pomocy bliźnim.

Igor mówi, że najważniejsze, to przestać myśleć tylko o sobie i w ogóle wyzbyć się tak zwanych złych myśli. „Jeśli ktoś swoim działaniem zaszkodzi choćby jednej osobie spośród stu, powinien zaprzestać je uprawiać”. Na przykład Kaszpirowski. To nie jest dobry człowiek — mówi Igor.

O sobie twierdzi, że próbuje pracować tak ze „kosmiczną” energią. I dlatego, żeby móc lepiej ją przyjmować i przyswajać, żeby pójść dalej w swoim widzeniu świata, podał się głodowce. Najpierw przez pół doby, potem przez kilka dni, a ostatnio nawet aż przez 28. Mówi, że oczyszczył w ten sposób organizm. Zamierza wkrótce przejść na wegetarianizm...

Igor M., Rosjanin, mówi, że w końcu zaczyna rozumieć po co człowiek właściwie żyje. „Przecież nie po to, żeby jeść i się rozmnażać, ale po to, by doskonalić się za życia”. Uwierzył w reinkarnację, a w ogóle... Ostatnio jakby jeszcze raz, od nowa się urodził. „Wszystko, co przeżyłem do tej pory przygotowywało mnie do tego co jest ze mną teraz. Dlatego nie płaczę nad tym, co było”.

Koleżdy z uczelni nie wiedzą o Igorze prawie nic. Nie zwierza się ze swoich niepokojów i wątpliwości. Wyśmiałby go. Jest tego pewien. W całym mieście nie ma bodaj czło-wieka, z którym mógłby wymienić myśli. Ale nie czuje się przez to samotny.

W wieku trzydziestu paru lat znalazł sposób na życie. I jego nową jakość. Nikomu nic do tego. To jego sprawa.



W związku z uwagami krytycznymi pod adresem Prokuratury Rejonowej w Żarach w publikacji Edwarda J. Mincera pt. „Daglegze pod topór” zamieszczony w nr 12 „GN” uprzejmie wyjaśniam.

Po otrzymaniu zawiadomienia o wycięciu daglegzi przeprowadzono postępowanie przygotowawcze najpierw w Rejonowym Urzędzie Spraw Wewnętrznych w Lubsku, a później w Prokuraturze Rejonowej. Skierowano je przeciwko naczelnikowi Nowogrodu i inspektorowi oświaty i wychowania. Osobiście wykonywałem w tej sprawie wszelkie czynności. W dniu 30 stycznia 1990 r. sporządziłem wniosek do Sądu Rejonowego w Żarach o umorzenie postępowania w oparciu o przepisy ustawy z 7 grudnia 1989 r. o amnestii, ponieważ charakter czynu i sprawy odpowiadały kryteriom tej ustawy. 6 lutego 1990 sąd amnestii oczywiście zastosował i postępowanie umorzył.

Zastosowanie amnestii przez umorzenie postępowania można potraktować za uniknięcie odpowiedzialności karnej. Jest to jednak szczególny rodzaj uniknięcia odpowiedzialności, oparty na akcie łaski i zależy przede wszystkim od ustawy.

Nie znalazłem powodów do kwestionowania dokonanej przez nadleśnictwo wyceny wyciętych drzew Lasy Państwowe sa w tym względzie jednostką wyspecjalizowaną i — jak uważam — właściwą. W praktyce sądowej utarło się ustalenie strat w momencie czynu. Daglegze wycięto 23 czerwca 1989 roku. Od tego czasu ceny drewna wielokrotnie wzrosły. Być może, że obowiązujące w czerwcu 1989 r. cenniki nie wyrażały rzeczywistej wartości drewna. Stąd też wyrażona w pieniędzu wartość wyciętych daglegzi na 131.330 złotych może rzeczywiście dzisiaj szokować.

O sposobie zakończenia postępowania powiadomiony został Urząd Wojewódzki w Zielonej Górze. Przez pomyłkę jednak wysłano informację błędną, a mianowicie na druk informacyjny o skierowaniu do sądu aktu oskarżenia zawierającym szereg

pouczeń o uprawnieniach pokrzywdzonego, poinformowano Wydział Kultury i Sztuki UW o umorzeniu postępowania na mocy amnestii. Pismo to sporządzone i podpisane przez sekretarkę jest oczywiście pomyłką, która stała się podstawą do dezinformacji.

Tym pismem prawdopodobnie posłużył się wice-wojewoda Jan Zięta w odpowiedzi na interpelację radnego. Wtedy to ujawniła się jej sprzeczność z odpowiedzią otrzymaną przez G. Jankowskiego.

Za ów galimatias informacyjny serdecznie przepraszam. Nie przybyłem na otwarte zebranie wiejskie do Bogaczowa w dniu 17 marca 1990 r., gdyż na ten dzień powołany zostałem na przeszkolenie wojskowe. O powyższym poinformowałem zapraszającego mnie w dniu 16 marca przedstawiciela Komitetu Obywatelskiego w Nowogrodzie Bobrzańskim.

Zastępca prokuratora rejonowego
Mieczysław Wicijewski

PAN REDAKTOR NACZELNY
ANDRZEJ BUCK

Piszę list po to, aby ukazać się w druku — to zrozumiałe. Pragnę, niech odezwą się ci, co piszą wiersze. Różne: dobre i słabsze, nawet złe, ale z potrzeby serca, dla oczyszczenia i po prostu, żeby nie z wariować.

Dziękuję panu redaktorowi Mincerowi za artykuł „Prawa marsz” i gratuluję wygranej w wyborach.

Żyję w Starym Kisielinie. Napisałam żyję (a nie mieszkam), gdyż wrosłam w tę naszą społeczność i nie traktuję Kisielina jako... hotelu.

Najważniejszy mimo wszystko jest dom rodzinny i to, aby w nim było czysto. Nigdy nikomu nie narzucałam się ze swoim wierszowaniem, „działam” w Kole Gospodyń Wiejskich wybraną okiem intuicji przez panią Antoninę Mielcarek — tak jak wiele innych kobiet. To ona nas zaktywizowała, nie potrafił oddać wszystkiego, tu potrzeba pióra żurnalisty z zacięciem, aby opisać tę postać. Służę adresem.

Co do wierszy, poczytaj moją, to oddała to za-fascynowanie najpiękniej i najrzetelniej pani redaktor Halina Ańska w „Nadodrze” w wywiadzie ze mną pt. „Kto marzyć zdolny”. Tak się zaczynał jeden z moich liryków, pisany na studiach w Gdańsku w 1970 roku.

Chcę tu podziękować pani Halinie, że nie straszyła mnie przy tym wywiadzie. (...) Znalazłam reportaż. Czytałam „Nadodrze”, prenumerując je. Aż do zawieszenia. Brak mi prawdziwego, kultu-

ralnego literackiego czasopisma Ziemi Lubuskiej, ot co... ale nam wszystkim brak jest pieniędzy i animuszu. (...)

Nie znalazłam osobiście pana Skarbka. Składam jednak czasem kwiaty na jego grobie odpowiadając cmentarz, gdzie leży także mój chrześniak Sławek, zmarły młodo, tragicznie.

Reportaż pani Ańskiej-Skarbek pt. „Odeszli” potwierdził mnie w przekonaniu, że pan Marjan był CZŁOWIEKIEM, który by mi pomógł wydać wiersze... gdyby żył

Irena Czarczyńska-Szaflik
przewodnicząca sekcji kulturalnej KGW

P.S.

Koło Gospodyń Wiejskich w Starym Kisielinie ogłasza KONKURS otwarty poetycki dla wszystkich piszących. Trzy wiersze dowolnie tematycznie w trzech egzemplarzach maszynopisu należy nadsyłać na nasz adres: Irena Czarczyńska, ul. Wiosenna 3, 66-002 Stary Kisielin KGW do dnia 20 września 1990 roku z dopiskiem „Konkurs”. Ogłoszenie wyników nastąpi 17 listopada 1990 roku w Ośrodku Nowoczesnej Gospodyni w Starym Kisielinie. Przewidziane nagrody książkowe — poczęta Janusza Koniusza z dedykacją Autora.

Utwory prosimy opatrzyć godłem. Godło z nazwiskiem należy umieścić w oddzielnej załączkowej kopercie. Życzymy powodzenia i radości tworzenia!

REDAKCJA „GAZETY NOWEJ”

Pierwszy pomnik Juliusza Słowackiego na Ziemiach Polskich powstał w Miłosławiu. Miłosław znajduje się między Srodą Wielkopolską a Wrześnią. Pomnik znajduje się w parku miejskim. Fundatorem pomnika był Józef Kościelski, właściciel Miłosławia. Projektodawcą i wykonawcą był Władysław Marcinkowski. W budowie pomnika party cypowała rodzina Mielżyńskich. Przy pomniku znajduje się postać córki Józefa Kościelskiego.

Pomnik powstał w roku 1899, w 50-lecie śmierci Juliusza Słowackiego. Odsłonięcie pomnika nastąpiło 16 września 1899 r., podczas którego przemawiał Henryk Sienkiewicz.

Dobrze byłoby aby pomnik Juliusza Słowackiego, wieszcz narodowego, wybitnego poety polskiego, powstał również w Zielonej Górze.

Zielona Góra jest miastem, które posiada najwięcej ulic związanych z Juliuszem Słowackim, bohaterami, lub tytułami Jego utworów.

Przewodniczący Komitetu
mgr Józef Orliński



LUBUSKIE LATO
FILMOWE

Łagów

DODATEK FESTIWALOWY

(NR. 1)



Łagów 1969



Łagów 1970

„Od zera ku punktowi zero — ciąg dalszy nastąpi?”

ANDRZEJ MILCZARKIEWICZ

Opowiadają taką legendę. Spożywając wieczerzę „Pod Basztą” Daniel Olbrychski urzeczony krajobrazem zaproponował organizację przez głąd filmów polskich u podnóża pojoannickiego zamku. Komuś innemu z biesiadników gryzmołacemu po serwetce wyszedł znak graficzny LLF — Lubuskie Lato Filmowe.

Tak czy inaczej, 29 czerwca 1969 roku o godzinie 17.00 w malutkiej sali kina „Świtez” pod artystycznym kierownictwem Stanisława Janickiego rozpoczęło się pierwsze Lubuskie Lato Filmowe — Łagów 69. Trzydzieści filmów najnowszej produkcji konkurowało o laur „Złotego Grona”. Pokazy konkursowe poprzedzały prezentacje filmów zrealizowanych przez Lubuski Klub Filmowy. Całość uzupełniały referaty i dyskusje w ramach seminarium nazwanego Tygodniem Krytyki Filmowej.

Powiało wielkim światem. Nobilitacja miejscowych jak i zielonogórskich notabli została osiągnięta. Owcześnie hasło „Ziemia Lubuska piękna, gospodarna i kulturalna” znalazło oficjalne potwierdzenie. Zadowolenie organizatorów musiało być wielkie skoro postanowiono „zabawę” kontynuować. Malownicza okolica, przytulna miścinka, życzliwi gospodarze zjednały sympatię gości. Ku obopólnemu zadowoleniu z roku na rok dopisywano właściwą liczbę oznaczającą aktualizację kalendarzową imprezy.

Ambicje działaczy wojewódzkich rosły wraz z upływem czasu, a wspierane przez co poniektórych twórców kierowały w stronę festiwalowego wymiaru Lubuskiego Lata. Z początkiem lat siedemdziesiątych sen o festiwalu przeradza się w konkret. Urzędujący wiceminister Czesław Wiśniewski może wypowiedzieć sakramentalną formułę „Festiwal Polskich Filmów Fabularnych uważam za otwarty”. Jedyny chyba festiwal filmowy na świecie zlokalizowany na wsi.

„Gminny festiwal” jak trafnie określił go Mikołaj Wojciechowski rozrasta się nie tylko dzięki zwiększonej ilości przeróżnych nagród ale, i to przede wszystkim, systematycznemu rozwojowi tej jego części, którą nazwać by można seminarnym-refleksyjno-dyskusyjną. Poziom, intelektualny wymiar corocznego seminarium Stowarzyszenia Filmowców Polskich wyznacza udział tej miary krytyków co Bolesław Michalek, Rafał Marszałek, Krzysztof Mętrak czy Andrzej Werner. Nie bacząc na trudności komunikacyjne zjeżdżają liczni twórcy polskiego kina formatu Andrzeja Wajdy, Krzysztofa Zanussiiego czy Krzysztofa Kieślowskiego. Na łagowskiej promenadzie tubylcy rozpoznają — Tadeusza Łomnickiego, Beatę Tyszkiewicz, Zbigniewa Zapasiewicz i wielu innych.

Charakter imprezy, jej klimat, być może i poziom, ściągają do Łagowa coraz liczniejsze rzesze najbardziej wyrobionej, chłonnej publiczności zrzeszonej w Dyskusyjnych Klubach Filmowych. To oni działacze DKF stanowiąc będą najbardziej wymagającą grupę uczestników projekcji, seminariów, spotkań, dyskusji.

Łagowski festiwal traci rację bytu w 1974 roku gdy w Gdańsku odbywa się pierwszy Festiwal Polskich Filmów Fabularnych.

Obowiązująca formuła filmowego lata musi ulec zmianie. Z kilku, wybrano propozycję Ryszarda Konicza — ówczesnego kierownika artystycznego Łagowa — polegającą na przekształceniu festiwalowego charakteru imprezy na seminarnym-refleksyjno-dyskusyjny. Łagów staje się miejscem spotkań ludzi filmu pragnących w ciszy i spokoju przeanalizować i przedyskutować kondycję filmu polskiego. Ogólne hasło „FILM POLSKI A KULTURA WSPÓŁCZESNA” jest na tyle nośne, że w kolejnych la-

tach mówiono o debiutach filmowych, moralności, filmie historycznym.

Otwartości i wrażliwości obydwu panów K — Tadeusz Konior — Dyrektor imprezy i Ryszard Koniczek — Szef Programowy — zawdzięczać można czułość na nowe, ważne zjawiska w polskim filmie. Tu pierwsze swoje publiczne pokazy mieli późniejsi twórcy „Kina moralnego niepokoju”. Nawiasem mówiąc sam termin zrodził się właśnie w Łagowie.

W środowisku filmowym impreza cieszyła się opinią w miarę niezależną. Oczywiście w granicach peerelowskiej rzeczywistości. Nawet wtedy gdy listę zaproszonych gości weryfikowali funkcjonariusze służby bezpieczeństwa w dyskusjach w kawiarni „Zamkowa” — mało tego, nawet wśród autorów referatów — spotkać można było osoby, których komunistyczna władza skazała na śmierć cywilną. Swoboda miała swoje granice. Pamiętam czego to nie wymyślano, aby koniec końcem pozbawić nagrody film Andrzeja Wajdy „Człowiek z marmuru”.

Powiew polskiego sierpnia '80 dał się zauważyć w malutkim Łagowie. Mówiono nie tylko o innych sprawach innym językiem, pokazywano inne filmy. Nagradzano tych, których nazwiska do niedawna zbrodnia ręka cenzura wykreślała z masowego obiegu. I kiedy za rok zbliżał się czerwiec 82 wiedziliśmy wszyscy, że imprezy nie będzie. Mieliśmy inne pojęcie godności niż Roman Wionczek. Czas umundurowanej władzy był okresem publicznego postu i milczenia, wymownej ciszy, przerywanej od czasu do czasu krakaniem wronopodobnych upiorów.

Z tym samym kierownictwem artystycznym choć pod zmienioną dyрекcją przystąpiono do organizacji kolejnej imprezy w 1983 r. Nowy dyrektor, jeden a potem drugi — najogólniej określając — był głęboko obojętny na sprawy związane z łagowskimi spotkaniami. Dyletantyzm połączony z tumanizmem nieze go nie mógł zwiasłować. Kolejne tematy proponowane przez „programistę” świadczyły o przypadkowości propozycji — unikowym charakterze oferty.

Sile inercji zawdzięczać można fakt „dokulania się” kolejnych edycji Lubuskiego Lata Filmowego do 1988 r., kiedy to cenzor oficjalnie nazywany Ministerstwem Kultury, postanowił dokonać definitywnej likwidacji. Spadkobierca tradycji greckiej zrobił to delikatnie. Zaproponował dwuletni cykl biennale. Wątpliwości nie było, że jest to początek końca. Los Lubuskiego Lata Filmowego wydawał się przez sądzony.

A jednak wspólnym wysiłkiem Federacji Dyskusyjnych Klubów Filmowych i kilku zapaleńców z Zielonogórskiego Klubu Kultury Filmowej uratowano imprezę. Odmienność zaznaczono częściową zmianą nazwy. Uczestniczyliśmy w Klubowym Lubuskim Leccie Filmowym Łagów '88.

Świadomi kryzysu dotychczasowej formuły najwierniejsi z wiernych sympatyków Łagowa w trakcie trwania jego klubowej wersji podjęli próbę wypracowania nowego modelu. Pro pozycja umiędzynarodowienia była najciekawszą. Następnego roku już pod starą nazwą Lubuskie Lato Filmowe zrobiono pierwszy mały krok w obranym kierunku. Udział filmowców z ZSRR nie był tylko symboliczny. Potwierdził trafność obranej opcji.

Jesień ludów Europy środkowej i wschodniej przesądziła ostatecznie o tematyce Łagowa lat dziewięćdziesiątych. Wracając do Europy stajemy przed podobnymi problemami, zadajemy podobne pytania jak Węgrzy, Czesi, Słowacy, Litwini czy Rosjanie. Wiele mamy sobie do powiedzenia. Rozmawiajmy.

Krawczuk może sobie likwidować!

(Z ANDRZEJEM KAWALĄ — dyrektorem LLF i ANDRZEJEM MILCZAR KIEWICZEM — rzecznikiem prasowym rozmawia Konrad Stanglewicz)

— Klub Kultury Filmowej, którego jesteście współtwórcami po raz kolejny staje się organizatorem Lubuskiego Lata Filmowego, najstarszej imprezy filmowej w kraju i od razu dodajmy — mającej szansę stać się imprezą najciekawszą. Jak weszliście „do puli”?

— Zrazu jako wyrobnik-współorganizator. Nasz Klub mógł załatwić to, czego nie dawał rady załatwić główny faktyczny organizator — Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów w Zielonej Górze: obsługę formalno-prawną, rachunki za referaty, prace zlecone itd. Stanowiliśmy wygodną furtkę po zwalającą obciążenie kretyńskie przepisy i ograniczenia. A w rewanżu na Lato zaproszono z Klubu jedną osobę, bo dyrektor OPRF Roman Sochaczewski był oszczędny.

— W 1983 roku ówczesny minister kultury i sztuki Aleksander Krawczuk, w ramach oszczędności, likwidował różne festiwale łączące z Jazz Jamboree. LLF miało przejść na formułę biennale. Zwolennicy Lata podejrzewali, że jest to pierwszy krok na drodze do skasowania tej imprezy. DKF-owcy ją uratowali: odbyło się Klubowe Lubuskie Lato Filmowe.

— Tak, na kulturze chciano oszczędzać. W ówczesnych sferach urzędniczo-filmowych utrzymywała się opinia: „Nie będziemy karmić darmozjadów” — czyli filmowców. O tym, że Lato się odbyło zdecydowali właściwie Węgrzy, stali bywalcy łagowskich spotkań. Oni po prostu wszczęli raban, nie przyjmowali do wiadomości faktu, że Lato może nie być. Powiedziała nam o tym Ola Myszak podczas ogólnopolskiego seminarium DKF w Cieszyńcu. Zebraliśmy się w pokoju hotelowym. Była Ola, był Ryszard Ukiński z Wrocławia, Adam Radziszewski z Białegostoku i inni. Powiedzieliśmy sobie tak: minister Krawczuk może sobie likwidować imprezy w Warszawie. Łagów jest u nas i my Lato zrobimy. No i zaczęło się szukanie pieniędzy, pieniędzy... To była inna Polska. O tym trzeba pamiętać. Władze wojewódzkie, wobec oficjalnego negatywnego stanowiska ministerstwa kultury, były w niezręcznej sytuacji, nie mogły afiszować się z poparciem. Mimo to trzeba to powiedzieć, ówczesny wicewojewoda Jan Zięta pomógł nam ogromnie. Wówczas jego podpis znaczył wiele!

— W 1989 roku też nikt nie wiedział czy LLF się odbędzie.

— Nam na tym zależało. Poparł nas obecny szef kinematografii a wówczas sekretarz Stowarzyszenia Filmowców Polskich Juliusz Burski, Kazimierz Żurawski — ówczesny rzecznik prasowy Stowarzyszenia, Andrzej Werner...

— Paradoxs: wsparła was ówczesna opozycja i znów „stało się” Lato.

— W formule kompromisowej. Program opracował długoletni dyrektor artystyczny i programowy LLF — Ryszard Konieczek. Hasło brzmiało: „Film polski i publiczność”. Byliśmy z nim w konflikcie, ponieważ uznaliśmy iż kisić się we własnym polskim sosie nie ma sensu. Chcieliśmy konfrontować naszą kinematografię przynajmniej z produkcją radziecką. Tamtejsi filmowcy mieli już bardzo interesujący dorobek. Gorbaczow robił pierestrojkę, a w Polsce na ekranach kinowych nie było tego widać.

— I właściwie udało wam się przełamać dotychczasową skostniałą formułę łagowskich spotkań. To co najbardziej zapamiętałem z ubiegłorocznego Lata, to filmy które w wydrukowanym programie imprezy zakamuflowane były pod ogólnymi hasłami: ostatni pokaz półkowy, pokaz-niespodzianka, pokaz filmów video wytwórni niezależnych. A były to polskie filmy dokumentalne i właśnie filmy radzieckie, jak np. ten o wyspach słowiańskich pokazany w kilka miesięcy później w TVP.

— To był czerwiec 1989 roku, czas wyborów. Stara władza była pewna zwycięstwa na podstawie zawartego z opozycją kontrak-

tu. Lato było imprezą oficjalną, a nie jakąś podziemną akcją — trzeba więc było utrzymać ten śmieszący dziś kamuflaż. Był to rodzaj taktyki, ot tak na wszelki wypadek, by ktoś znów nie chciał utracić Łagowa. Ale przecież podczas samej imprezy, w trakcie Lata, nie było już żadnych dwuznaczności, żadnych nie domówień. W dyskusjach rozliczaliśmy się nie tylko z naszym tragicznym komunistycznym garbem ale także — jak pamiętasz — z opozycyjnymi „zbożeniami”. Nie było tematów — tabu. Trzeba zresztą podkreślić, że LLF zawsze było swoistą enklawą. Tu sześć wypowiedzi była przez władze tolerowana. Pewnie dlatego, że Łagów to małe prowincjonalne miasteczko, do Warszawy stąd daleko. I dzięki Bogu!

— Popadamy w kombatancie wspomnienia. Co będzie podczas tegorocznego LLF?

— Andrzej Werner, któremu zaproponowałem liśny kierownictwo programowe, dał pomysł: Kinematografia Europy Środkowej i Wschodniej — punkt zero. Co mamy do zaproponowania Europie do której zmierzamy — w Polsce, Czechosłowacji, ZSRR, na Węgrzech — jakie filmy. Stąd też i pomysł zaproszenia w charakterze obserwatorów gości z Francji, Danii, Norwegii, Anglii...

— A dotychczasowi bywalcy?...

— Jasne, że będą: Węgrzy, Czesi, Słowacy, Rosjanie, a przede wszystkim nasi DKF-owcy.

— Najciekawsze pozycje programu?

— Nie rezygnujemy z tego co było wartością w latach ubiegłych. W cyklu retrospektywnym pokażemy filmy polskie z lat 1988-90, z pominięciem tych które były już w Łagowie w roku ubiegłym (np. „Przesłuchanie” Ryszarda Bugajskiego). Retrospektywę wzbogacą filmy telewizyjne (np. „Zmowa” Janusza Petelskiego) oraz to co przywiozą na si goście zagraniczni. Dla przykładu: Czesi zapowiadają „Łagodną rewolucję” — dokument o obaleniu władzy komunistycznej prezentowany na festiwalu w Berlinie Zach. Węgrzy przywiozą trzy filmy fabularne („Brygada marzeń”, „Meteo”, „Mały ale mocny”) i co najmniej trzy dokumenty („Malenki robot” braci Gulyas, „Nowowęgierski lament” Judit Ember i „Syberyjskie lato” Andrasa De ra). Rosjanie przyjadą także z dokumentami, oraz filmami fabularnymi pokazywanymi na festiwalach w Cannes i Berlinie Zach.: „Asteniczny syndrom”, „Coma” i „Taxi blues”.

— Czy będą przedpremierowe projekcje filmów polskich?

— Tak, codziennie w łagowskim amfiteatrze o 22.30. Zaś Federacja DKF przedstawi, tradycyjnie, dokumenty — na przykład Krzysztofa Langa „Proces” (film o procesie 16-tu), Józefa Gębskiego „Z Archipelagu Gulag”, filmy Łozińskiego i Kijowskiego. Ciekawa jest też propozycja Video-Studia z Gdańska: np. „Ostatki” — film o ostatnim zjeździe PZPR, filmy o Wałęsie i jego małżonce — „Lider” oraz „Danuta”, czy też Zajackowskiego „Balczerowicz”. To oczywiście tylko niektóre tytuły, bo wszystkich nie sposób wymienić.

— Oprócz projekcji mocną stroną LLF były zawsze dyskusje, spory, niekiedy kłótnie...

— Tak jak i w latach ubiegłych będziemy się spotykać w kawiarni „Zamkowej” codziennie o godz. 11.00, na dyskusji z twórcami filmów wyświetlanych poprzedniego dnia. Polska Federacja DKF organizuje forum poświęcone polskiemu dokumentowi, a Stowarzyszenie Filmowców Polskich seminarium, którego temat określa przewodnie hasło tegorocznego Lata, ów „moment zerowy” kinematografii dawnego socjalistycznego obozu. Gospodarzami tej części będą: Andrzej Werner i Tadeusz Sobolewski (czwartek, 28 czerwca) oraz Miron Czernienko i Laslo Fabion (piątek, 29 czerwca). Ponadto bardzo ciekawie zapowiada się spotkanie z reżyserami związanymi ze Studiem im. Karola Irzykowskiego.



Łagów 1970



Łagów 1975



Łagów 1975



Łagów 1978



Łagów 1978



Łagów 1978



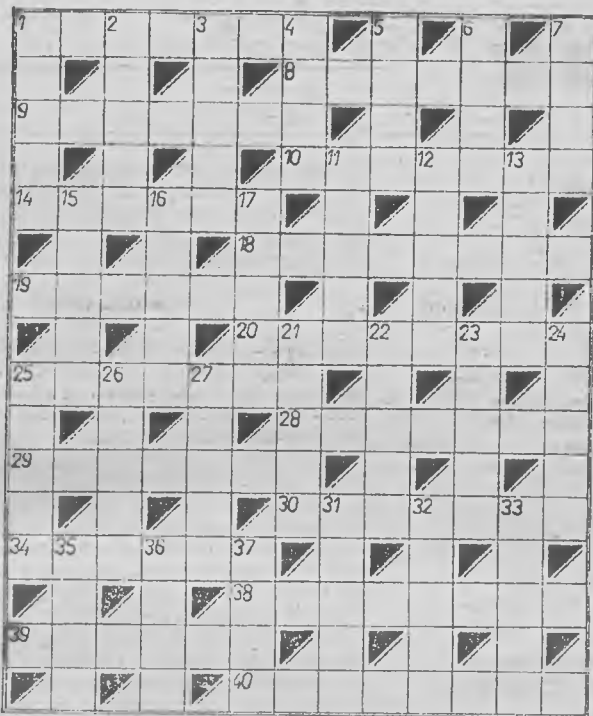
Łagów 1979



W NASTĘPNYM WYDANIU GN (23 CZERWCA) UKAŻE SIĘ 8-STRONICOWY DODATEK POŚWIĘCONY LUBUSKIEMU LATU FILMOWEMU ŁAGÓW '90

...Krzyżówka dla niecierpliwych nr 2

BA
Ty
bowe
bra
war
niko
poja
sytu
iryt
oraz
kich
kich
spok
BY
No
wszy
bard
wyja
dać
wśród
dzian
gro
wy
nych
noś
BI
Do
bard
niaci
cje,
pira
noś
wszy
w c
nans
gran
R
W
Two
kać
sko
wiel



POZIOMO: 1) przeszkoda, 8) autobus turystyczny, 9) sprzęt sportowy, 10) tworezynie, 14) pracuje przy obrabiarku, 18) nie jeden na targach, 19) pokój na okręcie, 20) otrzymanie 23) drzewo maturzystów, 28) urzędnik, 29) gwałt, 30) kolor czerwony z odcieniem fioletowym, 34) część nogi, 38) konkuruje z koldrą, 39) głupota, 40) dziesięciogroszówka.

PIONOWO: 1) ...to zdrowie, 2) składany nożyk, 3) efekciarz, błazen, 4) psia kończyna, 5) stała posada, 6) syn Dedala, 7) rolnicze zajęcie, 11) marka ciągnika, 12) kolonia, 13) sposób siedzenia 15) lek, 16) na słupie ogłoszeniowym, 17) awantura, 21) żołnierska skarpeta, 22) w herbacie, 23) narodowość, 24) rezultat, 25) kamizelka ratunkowa, 26) gat. agawy, 27) matol, 31) biały napój, 32) śmiałość, 33) starorzyska pieśń żalobna, 35) narzędzie walki, 36) składnik powietrza, 37) śnieg.

NOBOR

Rozwiązanie krzyżówki należy nadsyłać pod adresem redakcji do dnia 5 VII 1990 r. Na kopercie należy nakleić nazwę i numer krzyżówki. Wśród prawidłowych rozwiązań rozlosujemy nagrodę w wysokości 50 tys. zł.

Rozwiązanie krzyżówki nr 20

Pionowo: minaret, koral, riposta, cynik, zjadacz, ekran, kłapak, wianiec, szelki, tanius, łganie, katan.

Pionowo: Marczak, naprawa, rozszada, tkacze, trener, flakon, klarnet, Arianin, łazęga, polana, kwitek.

Nagrodę wylosowała Jadwiga Kuśnierczyk z Lubka. Nagrodę wysłamy pocztą.

Andrzej Mleczko



Rozwiązanie Rysunku — Zagadki z nr 20/90

Prawidłowa odpowiedź: Nowe Miasteczko.

Nagrodę wylosowała Beata Mantura z Rejowa. Nagroda do odebrania w redakcji.

HOROSKOP

BARAN — 21.03. — 20.04.

Tydzień na wysokich obrotach. Sprawy służbowe ściśle splatają się z prywatnymi, więc dobra atmosfera i spokój w domu są niezbędnym warunkiem do osiągnięcia jak najlepszych wyników w pracy. Na niwie zawodowej, znowu pojawi się nerwowość, niepewność i tak złożona sytuacja kadrowa, że, nieomal doprowadzi do irytacji. Pamiętaj, że najważniejszy jest spokój oraz zachowanie taktu i kultury wobec wszystkich. To jedyna możliwość rozwiązania wszystkich problemów. Koniec tygodnia zapowiada się spokojniejszy, z nadzieją zmian na dobre.

BYK — 21.04. — 21.05.

Nowy etap w pracy i ciekawe prognozy. Dla wszystkich rozpoczynających życie zawodowe bardzo korzystny okres. Niewykluczony dalszy wyjazd służbowy, który bardzo się uda i może dać początek serii awansów. Dobrą atmosferę wśród współpracowników poprawi nieprzewidywany i dość duży dopływ gotówki (premiera? na groda?) a szczęśliwe zakończenie trudnej sprawy wywoła duże uznanie wśród zainteresowanych. W życiu osobistym miły nastrój, serdeczność i ciepło będą trwałe.

BLIŹNIĘTA — 22.05. — 21.06.

Dobra forma, wzrost energii i dobra, nawet bardzo dobra passa we wszystkich poczynaniach. W pracy zawodowej sukcesy i satysfakcje, a dla niektórych spełnienie najwyższych aspiracji. Bliźnięta planujące zakończenie działalności zawodowej niech dokładnie przemyślą wszystkie za i przeciw — czy nie szkoda odejść w czasie tak korzystnej koniunktury? Dobre finanse dla wszystkich, dla niektórych spora wygrana.

RAK — 22.06. — 22.07.

W pracy atmosfera powoli się poprawia, ale Twoje ostatnie posunięcia muszą jeszcze poczęść na oddźwięk i uznanie. Nie pomagaj, wszystko ułoży się dobrze a Twoje koncepcje znajdą wielkie uznanie u przełożonych i współpracowników.

ników. Bądź spokojny i najlepszej myśli. W życiu osobistym różnie, wszyscy o nieuregulowanym życiu rodzinnym mają duże szanse na spotkanie kandydata na partnera, ale niewykluczone że może to być wielka, burzliwa, niezapomniana ale krótkotrwała przygoda.

LEW — 23.07. — 22.08.

W sprawach zawodowych niezwykle ciekawy tydzień, powstaną nowe rejonu działania dalekie od codziennej rutyny. Nie bój się ryzyka, idź zawsze naprzód i wierz że podolasz. Satysfakcja, komplementy, szacunek bliźnich będą Ci towarzyszyć. Trudny okres dla rozrzuconych, finansów skromne i do tego szykuje się spory, nieprzewidywany wydatek, oszczędność bardzo wskazana. Samotne Lwy mają duże szanse na poznanie partnera swojego życia, ale uwaga, należy wcześniej przemyśleć i umiejętnie oddzielić ziarno od plewu.

PANNA — 23.08. — 22.09.

W tym tygodniu będzie dominowała dobra forma fizyczna i psychiczna. Entuzjazm i zapał towarzyszący działalności zawodowej przyniosą już w najbliższym czasie efekty, a miłe słowa ze strony przełożonych, poparte niebagatelną kwotą będą najlepszym tego dowodem. Ale nie trac cierpliwości i pamiętaj, że spokojem i dyplomacją załatwi się najwięcej. W życiu osobistym doskonałe porozumienie z osobą najbliższą sereu i zanik długotrwałych konfliktów rodzinnych.

WAGA — 23.09. — 23.10.

Tydzień może zacząć się nieciekawie, może na stąpić bardzo surowa ocena działalności, tłumaczenia, wyjaśnienia, gorączkowa argumentacja. Postaraj się nie dopuścić do takiej ewentualności, zmobilizuj swoją energię, przysiadz i po załatwieniu wszystkiego jak najlepiej. W życiu osobistym sytuacja dwójaka. Dla osób już zajętych, umocnienie uczuć a nawet wyraźny wzrost ich temperatury, — serdeczność, czułość i dobro. Samotni mają szanse na nową, ciekawą znajomość, szkiełkiem i to w dodatku od butelki!

SKORPION — 23.10. — 22.11.

Tydzień pracowity i bogaty w sukcesy. Sprawy, którym poświęcasz całą swoją zawodową wiedzę i talent organizacyjny zapoczątkują, a efekty będą widoczne. Duży przyływ gotówki. Życie osobiste zacznie układać się znacznie le-

piej gdy partner spotka się z większym zainteresowaniem, serdecznością i życzliwością. Pamiętaj, czułością, miłym i spokojnym zachowaniem oraz pokazaniem swojego przywiązania wygrasz znacznie więcej.

STRZELEC — 23.11. — 21.12.

Trudny, pracowity, męczący tydzień. Znacznie zwiększony zakres czynności, niedomówienia i nie najlepszy nastrój wśród współpracowników nie będą nastrajały optymistycznie. Pamiętaj o zachowaniu spokoju oraz o konieczności taktownego i dyplomatycznego postępowania. Uśmiech i niereagowanie będą najlepszym sposobem na rozwiązanie wielu spraw. W życiu osobistym spokojnie, ale koniecznie musisz popracować nad scementowaniem związku, okazać partnerowi czułość, serdeczność i zaufanie.

KOZIOROŻEC — 22.12. — 20.01.

Tydzień pełen pomysłów, a nowe zainteresowania nie zaowocują interesującą propozycją. Przemyśl dokładnie i zastanów się, czy warto ryzykować. Osoby rozpoczynające pracę zawodową mają duże szanse na dobry start, ale muszą dokładnie przeanalizować wszystkie za i przeciw. Szansa na dobre układy i dobre finanse. W sferze uczuciowej należy zastanowić się nad nowym, ciekawym i niebanalnym obiektem uczuć.

WODNIK — 21.01. — 20.02.

W pracy tempo wymagające coraz lepszej organizacji i mimo zarysowujących się napięć i trudności — dobre perspektywy. Idziesz powoli, ale systematycznie do przodu, awans w zasięgu ręki, ale pamiętaj o zachowaniu spokoju, pewnej dyplomacji i założeniu hamulca na swój język. Dobre układy domowe, spokój, harmonia, a pod koniec tygodnia niespodziewane, ale nadzwyczaj miłe spotkanie towarzyskie. Uważaj na zdrowie.

RYBY — 21.02. — 20.03.

Doskonała passa dla wszystkich Ryb. W pracy zawodowej bardzo korzystne układy, miła współpraca a przełożony, który zmusi Cię do działań nieomal brawurowych trafi w przysłowiową „dziesiątkę"! Uznanie, także finansowe — i to w znaczącej kwocie. W życiu osobistym miłe kontakty, umocnienie serdecznej znajomości a pod koniec tygodnia spotkanie z kimś dawnym nie widzianym i kto wie — czy nie nastąpi odnowa uczuć?

ANKA

Piętnaście sezonów ANDRZEJA HUSZCZY

MIECZYSLAW WŁĘCKOWICZ

To było chyba przed pięciu laty w Gnieźnie. Obsługiwałem dla „Gazety Poznańskiej” jeden z jubileuszowych turniejów Ivana Maugera. Pełna gala — słynny Nowozelandczyk przywiózł do Polski grupę czołowych żużlowców świata. Już na początku imprezy dochodzi do pojedynku ANDRZEJA HUSZCZY z Maugerem. Przed wejściem w drugi łuk, Huszcza nie uważał za konieczne puścić przed siebie bez walki jubilata i... stało się. Dalsza część zawodów przebiegała bez Maugera, który po godzinie wrócił ze szpitala z opatrunkiem gipsowym...

Ta historyjka najtrafniej charakteryzuje chyba żużlowca Falubazu. Na torze nie potrafi udawać, wyjeżdża po to, by walczyć o jak najwyższą lokatę. A jak walczy, przekonali się kibice oglądając go przez piętnaście lat startów.

„NIE JESTEM BANDYTĄ”

— tłumaczył się przed laty na łamach tygodnika „Sportowiec”. Było to po kilku kolizjach na torze z udziałem Andrzeja. Niezyczliwi chcieli przyczepić mu łatkę ligowego brutala. Huszcza przeżył ogromnie tę nagonkę. Ale nawet wówczas nie żałował tego, że w lipcu 1975 roku zdecydował się zdawać egzamin na żużlową licencję. Stał do niego wspólnie z **Olkiem Janasem** i **Jurkiem Marcinkowskim**. Pierwszy z nich jest dziś jednym z najmłodszych sędziów żużlowych. Drugi, uznawany za spory talent żużlowy, szybko skończył karierę, można go jednak często spotkać na stadionie przy ul. Wrocławskiej. Ligowy debiut w spotkaniu z Gwardią Łódź, Huszcza przypłacił kontuzją stawu skokowego. Rok później świętował już z kolegami awans do ekstraklasy. Radość nie trwała długo — Falubaz szybko pożegnał się z ligową elitą, ale Andrzej pokazał się wówczas z korzystnej strony. 19-latek z Zielonej Góry zajął m.in. drugie miejsce w „Brązowym Kasku”.

Mocno przeżył swój pierwszy start na Zachodzie, w 1977 roku w Vojeens a jego partnerem był **Mariusz Okoniewski**. Był to finał mistrzostw Europy juniorów. Zawody przerwano z powodu ulewy po 12 biegach, a dorobek Andrzeja zamknął się 3 punktami. Jako ciekawostkę warto odnotować, iż jego ówczesny kolega z reprezentacji, M. Okoniewski jest dziś znanym w Leszczyńskim... ogrodnikiem.

W 1978 roku Huszcza znów awansował z Falubazem do I ligi, będąc najsukuteczniejszym żużlowcem ekstraklasy. W finale mistrzostw świata par w Chorzowie był rezerwowym. Miał więc nieco wolnego czasu, co zaowocowało znajomością z panną **Małgorzatą Nawrocką**, pochodzącą zresztą ze znanego żużlowego rodu. W lutym 1980 roku odbył się ślub Andrzeja i Małgorzaty. 1979 rok przyniósł Huszczy sukces w mistrzostwach Polski par. Wspólnie z **Henrykiem Olszakiem** stanęli na najwyższym podium w Gnieźnie. Olszak, obok Huszczy, był przez lata najsukuteczniejszym zawodnikiem Falubazu. W życiu prywatnym był natomiast przeciwieństwem Andrzeja. Za glądał do kieliszka, lubił wesołe towarzystwo, w końcu trafił do więzienia.

LEKCJA ANGIELSKIEGO

W 1980 roku, grupa polskich żużlowców wyjechała do klubów angielskich. Huszcza



Fot. S. Szalak

trafił do Leicester, gdzie przed nim jeździli jego dobrzy koledzy — **Bolesław Proch** i **Jerzy Rembas**. Początki były trudne — nieznaną języka, tęsknota do kraju, kłopoty ze sprzętem. Z czasem Andrzej stał się dość mocnym punktem drużyny. Zyskał sponsora w osobie fotografa **Wojciecha Małczewskiego** i przyjaciela — Australijczyka, **Steve Regelinga**, z którym dzielił mieszkanie. Fortuny na Wyspach się nie dorobił — za zdobyty punkt placono tam średnio pięć funtów. By nie trwonić pieniędzy na mechaników, Andrzej wiele czasu spędzał na przygotowywaniu motocykla do startów. Doświadczenia zdobyte w Anglii zapoczątkowały brązowym medalem w drużynowych MŚ we Wrocławiu i tytułem wicemistrza Polski zdobytym w Lesznie. W kolejnym sezonie Falubaz sięgnął po mistrzostwo ligi, powtarzając zresztą ten sukces w 1982 roku. Huszcza znów w 1981 roku wybrał się do Anglii. Czekano na niego w Leicester. Czekano jednak krótko (w między czasie kupiono innego zawodnika) i zielonogórzanin musiał skorzystać z oferty londyńskiego klubu Hackney. Jeździł tam razem z **Zenonem Plechem** i **Romanem Jankowskim**. Ostatnie pięć spotkań ligi rozegrał w barwach Reading.

Dwa sezony spędzone na brytyjskich torach były dobrą szkołą życia. Tam żużlowiec musiał liczyć przede wszystkim na siebie i Andrzej to szybko zrozumiał. Nauczył się dbać o sprzęt, podciągnął także swój angielski.

TO BYŁ ROK!

Mają rację ci, którzy twierdzą, że starty w lidze angielskiej są dla młodych żużlowców cennym doświadczeniem. Andrzej Huszcza przekonał się o tym już w sezonie 1982. To był najlepszy rok w historii zielonogórskiego żużla. Falubaz wygrał rozgrywki I ligi, Huszcza został indywidualnym mistrzem kraju, a wspólnie z **Janem Krzystyniakiem** stanął też na najwyższym podium mistrzostw Polski par klubowych. Do tego doszły jeszcze sukcesy w młodzieżowych mistrzostwach i „Srebrnym Kasku”. Jeszcze w 1985 roku Falubaz po włożył sukces drużynowy.

Dwa lata później klub zielonogórski okrył się żałobą po śmierci **Wiesława Pawlaka**. Trener **Czesław Czernicki** twierdzi, iż przez wiele miesięcy nie poznawał swoich podopiecznych. Uraz psychiczny po stracie kolegi dotyczył wszystkich, z Andrzejem Huszczą włącznie. Do kolejnego sezonu Falubaz przystąpił praktycznie z juniorami, których prowadził w bój 30-latek Huszcza. A jednak zespół nie zawiodł, zajmując czwarte miejsce w lidze. A największym sukcesem indywidualnym Andrzeja było pokonanie gwiazd światowego żużla (**Kelly Morana**, **Lance Kinga**, **Jana O. Pedersena**, **Tommy Knudsen**, **Kelvina Tatum**, **Johna Davisa**) w turnieju „All Stars” w Tarnowie. „W nagrodę” został pominięty w składzie kadry narodowej... Rok później otrzymał jednak szansę udziału w ćwierćfinałach mistrzostw świata. Przed własną publicznością stanął na podium za **Antalem Kocso** (Węgry) i **Ryszardem Franczyszynem**. Znakomita średnia 2,71 pkt. dała mu tytuł najsukuteczniejszego zawodnika polskiej ligi. W tym sezonie, mimo że to już piętnasty w jego karierze, Andrzej nadal zalicza się do najsolidniejszych „firm”. I wcale nie zamierza kończyć sportowej kariery...

JAKI JEST?

Niedawno zapytałem **Romana Jankowskiego** i **Zenona Kasprzaka** co sądzą o Andrzeju Huszczy. Obaj byli zgodni co do jednego faktu: Andrzej nigdy w swojej karierze nie zaliczył poważnego upadku (odpukać!), dlatego jeździ bez obciążeń psychicznych. A sam Huszcza twierdzi, iż sport dał mu niepowtarzalną okazję poznania świata. On chłopak z podzielenogórskiej wsi, dzięki wytrwałości, talentowi i ciężkiej pracy stał się znanym czło wiekiem. Wolny czas lubi spędzać w rodzinnym gronie, ze swoim „babińcem”. Ma trzy córki: Iwonę (10 lat), Maję (8) i Kasię (4). Mówi o nich: „aniołki Charliego”. Jeździ Volks wagenem Busem. Na stadion żużlowy, jako dziecko, przyjeżdżał z bratem, fascynując się postawą ówczesnych Zgrzeblarek z **Henrykiem Ciorgą**, **Mieczysławem Mendyką**, **Ludwikiem Jaskulskim**, a później **Zbigniewem Marcinkowskim**. Jego pierwszym trenerem był **Stanisław Sochacki**. Andrzej twierdzi, iż wiele mu zawdzięcza. Zna swoje wady — czasem spóźnione starty i mało płynną jazdę. Jego żużlowymi wzorami byli zawsze **Iwan Mauger** i **Hans Nielsen**. Najwyżej ceni sobie zwycięstwo we wspomnianym już turnieju „All Stars” w Tarnowie. Lubí krótkie, techniczne tor, na których decydują umiejętności zawodnika, a nie klasa sprzętu. Największe rozczarowanie przeżył podczas finału kontynentalnego mistrzostw świata w Rybniku, gdzie dwa defekty motocykla pozbawiły go upragnionego awansu do grona najlepszych żużlowców globu. Najwięksi przyjaciele Huszczy z żużlowego toru to **R. Jankowski**, **Z. Kasprzak**, **J. Krzystyniak**, **Z. Plech**, **Bogusław Nowak**, **Edward Jancarz**, **Jerzy Rembas**, **Wojciech Zabiałowicz**, a także **Kelly Moran** i **Steve Regeling**.

Marzenia? Jeszcze jeden tytuł mistrza Polski i zdobycie wreszcie „Złotego Kasku”.

BIEG PRZECZ PŁOTKI

W cieniu Mondiale

Ze strony nieleżnej grupy znajomych z branży, którzy wiedzą, że pisuję te mo- je gawędy spotkałem się z następującym zarzutem. „Idziesz na światowe operacje niemal wyłącznie argumentami z poboczny spor- tu. W codziennej działalności jest to przecież margines. A tymczasem sam wiesz, sport się wali. Malejącej coraz bardziej grupie działaczy i trenerów a i samym zawodnikom należałoby raczej słowa otuchy, a nie wytykanie ich słabostek”.

Niestety, optymizmu „ku pocieszeniu” spor- towych serc za wiele nie ma. Po burzliwych ty- godniach sporów w ramach i obok Forum Spor- towego, po cyklu oświadczeń różnych stron i gorącej polemice prasowej wokół kultury fizy- cznej znowu cicho. Cisza nie oznacza co praw- da spokoju, jednak sądzę, że następnych kilka tygodni zostało zmarnowanych. Sportowa wła- dza centralna niby oficjalnie jeszcze jest, ale niech ktoś spróbuje w Warszawie coś załatwić, uzgodnić, ba, uzyskać jakąkolwiek informację.

Fama głosi, że premier Tadeusz Mazowiecki nie mógł długo zdecydować się na odwołanie Aleksandra Kwaśniewskiego z funkcji szefa re- sortu, czekając na gest rezygnacji bezpośrednio od niego samego. Niby inaczej nie wypadło w stosunku do współprzewodniczącego komisji O- kragiego Stołu. Sam Kwaśniewski, żegnając się tydzień temu z dyrektorami wydziałów kultury- fizycznej urzędów wojewódzkich (już były- ni, gdyż w żadnym z województw samodzielnie go wydziału nie udało się uchować) tłumaczył się kilkunastokrotnymi, bezskutecznymi podejs- ciami do premiera. Na tapecie rządowej były jednak ważniejsze sprawy.

Dziś, gdy oficjalny „papier” już został zło- ny, dalej oczekujemy na komunikat w tej spra- wie. Sytuacja jest patowa. Dotychczasowy szef i jego zastępcy od pewnego czasu myślami są już bardziej przy nowych posadach. Okres fak- tycznego „bezkrólewia” niebezpiecznie się prze- dłuży. Z kulturalnych przecieków wynika, że najpoważniejszym kandydatem na następcę Kwa- śniewskiego jest redaktor Zygmunt Lenkiewicz z tygodnika „Półka Nozna” próbujący także swych sił w biznesie (branża: wody gazowane). Jak wieść głosi – szlowski z kręgów ministra- lia. Gorzej że działająca przy Radzie Mini- strów, Komisja Legislacyjna w swym pierwszym projekcie nie widzi potrzeby utrzymania kultu- ry fizycznej w jednym resorcie...

Kluczowe decyzje mają zapasę na przewidzia- nym w końcu września Kongresie Sportu Pol- skiego. Obawiam się jednak i nie jestem w tej opinii odosobniony że światek sportowy jest zbyt podzielony i zasklepiony w swych party- kularnych interesach, by uzyskać pełny consen- sus. Potwierdza to odbyte już niektóre kon- gresy branżowe (m.in. trenerów, nauczycieli wf, sportu ludowego), gdzie dyskusja i ustalenia da- leko odbiegały od konstruktywności. Nie może się też dopracować pełnego programu sportowa „Solidarność”.

Prawdę mówiąc, przydałby się przy najmniej w pierwszym okresie „nowego” w sporcie po- rządkowy dyktator o dużych i niepodważalnych kompetencjach który załatwiłby „czarną robo- tę”. Wiem doskonale, że w dobie demokracji nie jest to raczej możliwe, a i o odpowiedniego kan- dydata byłoby trudno. Pomarzyć jednak czasa- mi fajno jest.

Tymczasem problemów wokół których nale- żałoby wywołać publiczną dyskusję jest aż nadto. Od tak banalnych oczywistych jak: wy- chowanie fizyczne w szkole, baza i sprzęt, spor- towy, wzrost zainteresowania społecznego rekre- acją, po struktury organizacyjne i finanse. Mnie od dłuższego czasu gnębi jeszcze jedno. Czy nie powinno u nas nastąpić „spowolnienie” trenin- gu sportowego? Czy nasza sportowa młodzież musi dalej ciężko pracować na treningach 3-6 razy w tygodniu, aby udowodnić wyższość nad

rywalem w województwie, Polsce czy nawet w Europie? Już przecież wynikami nie musimy udowadniać wyższości ustroju socjalistycznego?

I na koniec nutka optymizmu. W pełni demo- kratyczne wybory do samorządów lokalnych wy- koniły autentyczne reprezentacje społeczne w miastach i gminach. W składach Rad zauważy- lem wiele osób w jakimś tam stopniu związa- nych z działalnością w kulturze fizycznej, a tak- że sporą grupę sympatyków sportu. Zdając so- bie sprawę z wielości problemów, przed który- mi staną władze samorządowe, jest jednak szan- sa na stworzenie, może niedużego, ale zawsze, sportowego lobby. W co głęboko wierzy, wyją- kowo tym razem poważny

PE(L)OTKAR

PS. Po oddaniu powyższego felietonu do druku otrzymaliśmy informację, iż Zygmunt Lenkie- wicz zastąpił Aleksandra Kwaśniewskiego na stanowisku przewodniczącego Komitetu Młodzie- ży i Kultury Fizycznej.



Cheśmy przedstawić i przypomnieć czyteln- kom herby naszego regionu należące do miej- scowości, kościołów, osób, cechów i korpóra- cji rzemieślniczych.

Nasz cykl rozpoczęliśmy od herbów miej- skich. Dziś...

Bobrowice

Miejscowość położona na lewym brzegu Bobru, od którego wzięła swoją nazwę. Pod koniec XVII wieku Bobrowice były niewiel- kim miastem, w skład którego wchodziło: Stare Miasto, Nowe Miasto zbudowane przez mieszkańców w 1694 roku po wielkiej po- wodzi, oraz Przedmieście Krośnińskie, gdzie w 1735 roku osiedlili się sukiennicy przy- byli z Saksonii.

Oficjalnie Bobrowice otrzymały prawa miejskie dopiero w 1809 roku, po II wojnie zostały zaliczone do wsi.

Herb miejski po raz pierwszy umieszczony został na pieczęci miejskiej z 1733 roku, powtórzony ponownie na późniejszej pieczę- ci z 1809 r. Jednak, jeżeli wierzyć twierdze- niom XIX-wiecznych władz miejskich, herb Bobrowic został opracowany w pierwszej



LEGENDA

- złoty /zółty/
- srebrny /biały/
- czerwony
- zielony
- czarny

1733 r

Rys. Anna Strzyżewska

JANUSZ PECIAK:

Mile wspomnienia

Jedną z najpopularniejszych postaci zakoń- czonych w Drzonkowie zawodów Pucharu Świata pięcioboistek był JANUSZ PECIAK. Najbardziej utytułowana postać tej dyscypli- ny, mistrz świata i mistrz Olimpijski jest dziś trenerem kadry USA. Jego podopieczna Lori Norwood wygrała drzonkowskie zawody.

— Choć mieszka pan ostatnio w Teksasie, często bywa pan w Drzonkowie...

— Jestem w Europie już trzy miesiące. Naj- pierw trenowałem tu z kadrą juniorów, póź- niej seniorów, teraz przyszła kolej na senior- ki.

— Jak pan znajduje drzonkowski ośrodek?

— Mimo wszystko to jest wciąż jeden z najpiękniejszych ośrodków pięcioboistych na świecie. Ja mam stąd mile wspomnienia. W 1981 roku zostałem w Drzonkowie podwójnym mistrzem świata. Staram się tu przyjeżdżać każ- dego lata. Do pięcioboistego treningu są tu warunki idealne.

— Jak się panu pracuje w USA?

— Nie narzekam, choć kłopotów nie braku- je. Przede wszystkim wielu zawodników ucie- ka z pięcioboju do triathlonu.

— Przecież to bardziej mordercza dyscypli- na sportu.

— Być może, ale tam są pieniądze. I to co- raz większe...

— Podobno i w pięcioboju zaczynają się po- jawiać.

— Tak, na zwycięzcę zawodów we Frank- furcie czeka podobno 6 tysięcy dolarów.

— Jak trenują amerykańscy pięcioboiste?

— Przede wszystkim — indywidualnie, zgru- powania organizujemy wyłącznie przed waż- nymi zawodami.

— Czy pięciobój ma w USA liczną publicz- ność?

— Jak wszędzie: niezbyt liczną. Dlatego or- ganizujemy ostatnio zawody jednodniowe, ko- Ńczone jazdą konna. Na takie imprezy ludzie chętniej przychodzą.

— Co pan sądzi o Norwood?

— No cóż, jest mistrzynią świata. Jej popi- sową konkurencją jest bieg, próbuje zresztą swoich sił w biegach długodystansowych.

— A polskie zawodniczki?

— Są znakomite. W Drzonkowie szczegól- nie zaimponowała mi Iwona Kowalewska.

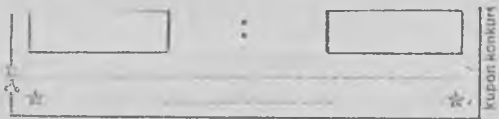
— Jak pan ocenia zawodniczki Lumelu?

— Robią systematyczne postępy. Wielkim talentem jest Anna Sulima. Myślę, że wystą- pią w mistrzostwach świata.

Not. (MW)

UNIA LESZNO

FALUBAZ



Podobnie jak w spotkaniu Stał Rzeszów — Falubaz, żaden z uczestników naszego konkur- su nie odgadł wyniku spotkania Falubaz — Mo- tor Lublin (49:40). Jeden z czytelników był bli- ski, typując 50:40... Gramy więc dalej. Do 25- km. przyjmujemy kupony na mecz Unia Lesz- no — Falubaz. Do wygrania jest nadal 200 tys. złotych. Wycięty kupon, po wypełnieniu, nale- ży przesłać na adres „Gazety Nowej” (Zielona

Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13) lub przy- nieść osobiście do redakcji.

OSEMKA „GN”

Dziesiąta seria spotkań odbywała się na ra- ty. Stąd dopiero dziś zamieszczamy ósemkę wy- różniających się zawodników. Kolejny raz zna- laził się na tej liście Zbigniew Błażejczak z Fa- lubazu. Czyżby mobilizujący wpływ na jego formę obraz wręczony przez agentów z zielo- nogórskiej drogerii przy ul. Świerczewskiego, pp. Marczyka i Huczka...

Oto nasza ósemka: Zbigniew Błażejczak (Fa- lubaz), Piotr Świsł, Krzysztof Okupski i Ry- szard Francyszyn (Stał Gorzów), Roman Jan- kowski, Zenon Kasprzak i Piotr Pawłeki (Unia Leszno) i Antoni Skupień (ROW).

NAPAD w OTWOCKU

KRZYSZTOF GRZEGRZÓŁKA

Jest ósma trzydzieści rano. Z oddziału Narodowego Banku Polskiego w Otwocku przy ulicy Powstańców Warszawy przyjechał właśnie niebieski „maluch”. Jego kierowca Piotr Podzieliński, dyrektor Banku Spółdzielczego parkuje tuż przed budynkiem. Pierwszy wysiada konwojent Jan Sikora, 67-letni ormowiec. Na tylnym siedzeniu kasjerka Barbara Głogowska trzyma torbę z 50 milionami złotych (dzisiaj przeszło pół miliarda). Sikora pochyla się, podnosi przedni fotel, sięga ręką po pieniądze i nagle słyszy: „oddaj torbę, bo cię zabiję!” Za nim stoi mężczyzna, ze sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, krępy. Spod podniesionej przyłbicy czerwonego motocyklowego kasku spoglądają zdecydowane na wszystko oczy. Twarz ma okrągłą, gęste wąsy, raczej szatyn. Wiek z górą trzydzieści lat. Tyle zapamiętuje konwojent.

Tamten szarpie torbę z pieniędzmi, ale Sikora trzyma ją mocno. Nie ustępuje nawet wówczas, gdy dostaje trzy silne uderzenia kolbą w głowę. Napastnik ściska bowiem w prawej ręce mały, czarny pistolet. Lufę kieruje w nogi konwojenta. Padają dwa strzały. Na płaszczy Sikory pojawia się krew. Czuje przejmujący ból w udach, chwytą się więc za nie obiema rękami. Wypuszcza torbę. Trzeci strzał napastnika trafia w nogę Barbarę Głogowską usiłującą zatrzymać pieniądze.

Bandydata zgarnia łup i ucieka. Obok czeka już na niego wspólnik na czerwonym motocyklu. Podkręca gaz, by wraz z kołesiem zniknąć natychmiast za najbliższym rogami ulicy.

Na miejsce zdarzenia przybywa pogotowie oraz milicja. Sikora i Głogowska jadą do szpitala. Mają szczęście. Kule nie przeszły kości. Prawdopodobnie strzelał wysokiej klasy fachowiec.

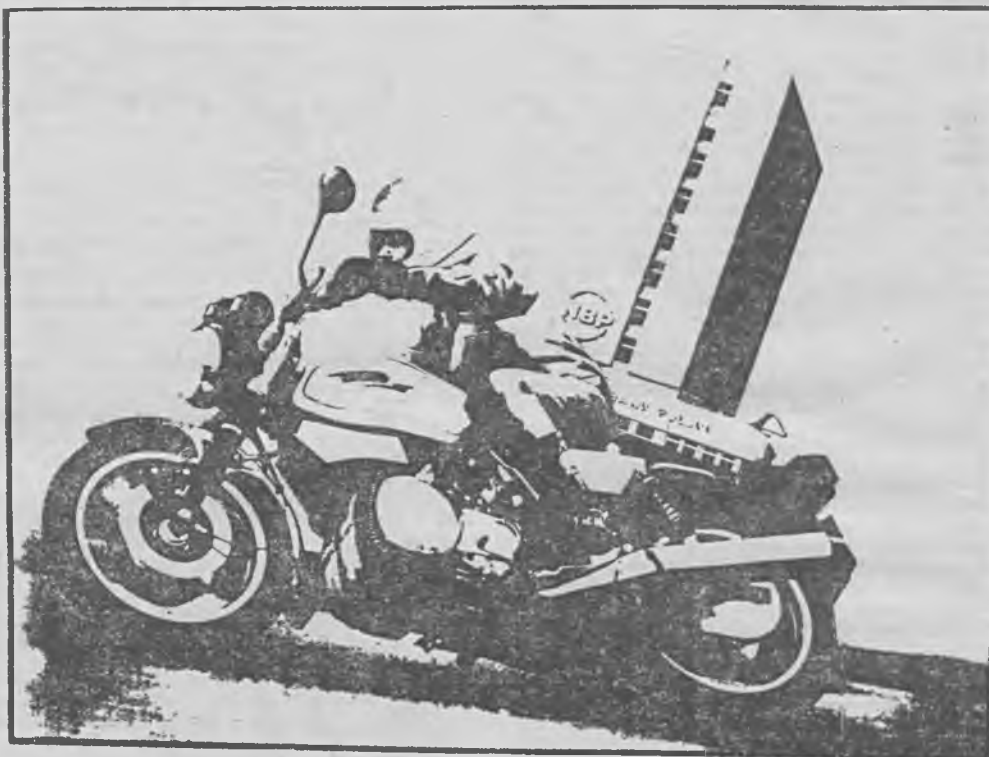
— Tego dnia, a dokładnie 14 kwietnia, przyjąłem służbę oficera dyżurnego o ósmej — mówi porucznik Krzysztof Bronikowski. — Sprawdziłem areszty zatrzymanych i przygotowałem grupę operacyjno-dochodzeniową do wyjazdu. Przy moście kolejowym w Świdrze znaleziono bowiem zwłoki nieznanego mężczyzny. Około ósmej dwadzieścia spod RUSW wyruszył radiowóz o kryptonimie „54 06” z załogą. Zaraz potem zabrzęczał telefon. Z banku Spółdzielczego przy ulicy Kollataja w Otwocku dzwoniła znajoma, zgłaszając wiadomość o napadzie.

Wtedy Bronikowski natychmiast zawraca „54 06” i wzywa kolejne radiowozy. Sześć samochodów i kilkunastu funkcjonariuszy. Wszytko, czym 14 kwietnia 1988 roku dysponuje otwocki Rejonowy Urząd Spraw Wewnętrznych. Blokuje się główne drogi wylotowe. Po godzinie na miejsce napadu przybywają funkcjonariusze ze stołecznej dochodzeniówki. Oprócz nich kilka kompanii ZOMO do przeczesania terenu.

SLEDZTWO

prowadzi Prokuratura Wojewódzka w Warszawie. Pod Bankiem Spółdzielczym znaleziono trzy łuski, dwa pociski oraz fragment tworzywa sztucznego. Pociski pochodzą z naboju pistoletowych kalibru 6.35 mm wz Browning produkcji czechosłowackiej, odstrzelonych z pistoletu „Mauser” mod. 1914 kal. 6.35. Plastik jest częścią okładki chwytu pistoletu „Mauser” mod. 1914 kal. 6.35 mm.

Trzy i pół kilometra od siedziby Banku Spółdzielczego przy skrzyżowaniu lokalnych dróg leży porzucona Jawa CZ 350 o numerze rejestracyjnym WSR 8309 i dwa czerwone kaski. Aby przemierzyć tę odległość z możliwą prędkością (od 40 do 70 km/godz., w zależności od stanu nawierzchni) potrzeba czterech minut.



Fot. Kru—Kre

Pies tropiący wacha wnętrza obu kasków i od razu podejmuje ślad. Prowadzi przez zagajnik do szosy z Warszawy w kierunku Wiązownej. Nagle zatrzymuje się na piaszczystym poboczu przy świeżych jeszcze śladach opon samochodowych. Siada i dalej już nie chce iść. Przewodnik zmusza psa do powtórzenia czynności, lecz ten za każdym razem robi to samo. Zdjęte odlewy gipsowe śladów protektora kół wskazują, że mógł to być Polonez, Fiat 125 p, albo też jakieś stare BMW... W kaskach znaleziono włosy zerowej grupy krwi, pochodzące jednak od dwóch osób.

Tego samego dnia w wieczornym wydaniu Dziennika Telewizyjnego podano rysopisy sprawców napadu na konwój pieniędzy w Otwocku wraz z portretami pamięciowymi.

MÓWIĄ ŚWIADKOWIE:

— Dwa dni przed napadem, dwunastego, we wtorek robiłem porządki w ogródku. Nagle słyszę, że ulicą przy której mieszkam jadą z ogromną prędkością dwaj mężczyźni na motocyklu. Tuż za nimi pomarańczowy Polonez. Zmierzali w kierunku ulicy Kraszewskiego. Po piętnastu minutach znów słyszę ryk silników i spostrzegam pędzące te same pojazdy. Tym razem jednak w kierunku Turystycznej. Zerknąłem więc na rejestrację Poloneza, ponieważ nikt nie jeździł wtedy tak szybko i w dodatku w takim zestawie. Ale chyba to nie była otwocka rejestracja...

— Po pieniądzu jeździłam na zmianę z drugą kasjerką. Dwunastego w NBP była np. ona. Trzynastego zaś żadna z nas nie musiała się tam fatygować, bo pieniędzy wystarczyło z poprzedniego dnia.

(Co ciekawe, trzynastego nikt w mieście nie zauważył czerwonej Jawy CZ 350, ani też towarzyszącego jej Poloneza. Za to dzień później...)

— Było gdzieś koło ósmej. Zjechałam właśnie z przejścia przez torę, kiedy zobaczyłam, że z centrum Otwocka zbliża się czerwony motor z dwoma pasażerami. Byli już blisko mnie więc postanowiłam zaczekać. Ale kierowca zmniejszył prędkość i skręcił w ulicę

Rzemieśniczą, w kierunku Kollataja, po czym po przebyciu około dwudziestu metrów zatrzymał się przy krawężniku przodem do Kollataja. Siedzący za kierownicą był niższy. Obydwaj ubrani w dżinsowe kurtki, w czerwonych, zasłaniających głowę i twarz hełmach. Gdy się zatrzymali, to ten z tyłu zsiadł z motoru i zdjął kask. Akurat ich mijałam. Miał nie więcej jak 25—30 lat, około 180 centymetrów wzrostu. Szczupły i o pociągłej twarzy. Wydaje mi się, że takiego samego osobnika widziałam już kiedyś w Otwocku.

— Podczas konwoju zawsze miałem przy sobie naładowaną broń, P 64. Wtedy jednak nie strzelałem, bo tamten wyciągnął już w moim

kierunku pistolet. Trzymał palec na spuście, więc bałem się, że gdy tylko sięgnę do kieszeni po swój, wypali. Nie strzelałem też, gdy uciekał, bo ulicą jechały samochody. Mogłoby trafić w postronne osoby.

IGRANIE Z OGIEM

Bank Spółdzielczy w Otwocku pobierał codziennie z tamtejszego oddziału NBP znaczne kwoty pieniędzy. Wówczas od 30 do 70 milionów złotych. Przewożono je samochodem dyrektora. W razie jego nieobecności korzystano z taksówek. Tylko od września osiemnastego siódmego roku, do czternastego kwietnia osiemnastego osiemnego wynajęto do tych celów 16 różnych samochodów.

Mówi jeden z otwockich taksówkarzy: — Wynajmował mnie Sikora. W dniu kursu około godziny ósmej stałem na postoju przy stacji PKP. Do mojej taksówki wsiadał Sikora. Mówił, że ma dla mnie kurs do Banku Spółdzielczego. Jechaliśmy więc do siedziby banku przy Kollataja. Sikora wysiadał, po czym wracał w towarzystwie jednej lub dwóch kobiet. Udawaliśmy się na Powstańców Warszawy pod NBP. Ja wypisywałem rachunek, a oni szli załatwiać swoje sprawy. Po dziesięciu minutach wracali. Torbę niósł Sikora. Nigdy nie umawiałem się z nim wcześniej. O kursie dowiadywałem się zawsze tego samego dnia, kiedy mieli wieść pieniądze. Sikora nigdy nie mówił mi, że wożą pieniądze i jakie kwoty. Ja jednak domyślałem się, ale nikomu o tym nie opowiadałem.

SPRAWCY

— Jawę i kaski kupiłem w kwietniu 1986 roku, w sklepie GS. Nie podobał mi się jednak jej pierwotny kolor — czerwień meksykańska, więc po dwóch miesiącach przemalowałem motor na czerwono. Ostatnio potrzebowałem trochę pieniędzy, bo chciałem się ożenić, więc postanowiłem go sprzedać. Dziesiątego kwietnia 1988 roku pojechałem razem z kolegą do Warszawy na giełdę. Postawiliśmy motocykl w pobliżu biura pośrednictwa. Po

paru minutach podeszło do nas dwóch mężczyzn. Jeden zaraz się oddalił, drugi zapytał:

— Ile?

— 170 tysięcy — odparłem.

— Daję 120, przemyśl — powiedział i nie czekając na odpowiedź ulotnił się. Wrócił po paru minutach.

— No i jak?

— Możemy się dogadać — ja na to.

Zaproponował próbną jazdę. Transakcji dokonaliśmy po drugiej stronie ulicy, gdzie stały wyłącznie samochody osobowe i kręciło się mniej ludzi. Dobiliśmy targu z ceną 140 tysięcy za motor i dwa kaski. Wyjął portfel i zapłacił banknotami po dziesięć tysięcy. Dysponował sporą forszą.

Nie chciał spisać umowy kupna — sprzedaży na miejscu, gdyż, jak twierdził, Jawę zamierzał sprezentować bratu. Wziął więc od poprzedniego właściciela adres i obiecał dopełnić formalności. Poprowadził motocykl pieszo w nieznanym kierunku. Sam podobno nigdy nie jeździł. Interesowało go przy tym, który motor ma większy zryw MZ, czy Jawa? Odpowiedzieliśmy, że MZ prześciga Jawę na starcie, za to na trasie lepsza jest ta druga.

Mężczyzna, który kupił Jawę miał około 24—27 lat i 176 centymetrów wzrostu. Czarne włosy, owalną śniadą twarz i czarne wąsy średniej długości.

— Napastnik z wąsami skojarzył mi się z byłym pracownikiem milicji — powiedział w śledztwie jeden z przypadkowych obserwatorów napadu. — Nie mogę stwierdzić na pewno, że ten którego widziałem był właśnie nim. Istniało jednak duże prawdopodobieństwo.

Ktoś inny zapamiętał podobnego mężczyznę półtora tygodnia przed zdarzeniem. Stał w sali operacyjnej banku w porze, gdy akurat z NBP przywieziono pieniądze.

W znużonym śledztwie przesłuchano kilkuset świadków, penetrując środowiska przestępcze, zwłaszcza w rejonie Otwocka i pobliskiego Józefowa. Ustalono też, że pomiędzy 7 rano dwunastego kwietnia a 7 rano dnia następnego na stacji CPN w Falenicy kupiono 33 litry benzyny, posługując się kartą paliwową motocykla sprzedanego w niedziele na warzawskiej giełdzie. Pracownicy tej stacji nie potrafili jednak określić osoby, która kupowała benzynę. Niestety nie dało rezultatów porównywanie charakteru pisma.

Jedno jest pewne: sprawcy doskonale znali teren, system pracy banku oraz siły i metody operacyjne milicji. Wiedzieli, że wystarczy sześć minut od dokonania napadu, by znaleźć się na trasach wylotowych, prowadzących z Otwocka w różnych kierunkach, oraz że blokada dróg jaką milicja będzie w stanie zorganizować co najwyżej pół godziny po zdarzeniu nie zagrazi im. Poza tym mogli schować się nawet gdzieś w pobliżu i spokojnie obserwować pościg za nimi lub też później włączyć do akcji „pomocy” w schwytaniu sprawców. Sygnały bywały różne.

Jeden wszakże, mimo umorzenia śledztwa, skłania dziesięć policję do dalszych obserwacji. Jawa CZ 350 WSR 83-09 miała w chwili sprzedaży dwa lusterka. Porzucona w Otwocku na rozstaju dróg tylko jedno. Taki sam motocykl transportowano przed napadem krytą furgonetką i też miał jedno lustro. Czy właściciel furgonu był zamieszany w przestępstwo? Nie wykluczone, że na to pytanie cytelnicy otrzymają jeszcze odpowiedź.

Napad sprzed dwóch lat na konwój pieniędzy w Otwocku pozostaje świeży w pamięci wielu osób. Najlepiej, co może zabrzmi banalnie, pamiętają go sami sprawcy. Czy należy jednak lekceważyć tę ich „pamięć”? Udało się wtedy, mogą przecież próbować jeszcze raz gdzie indziej. Dzisiaj natomiast byłoby im, zważywszy na słabość policji i beztroskę wielu zamożnych obywateli, o wiele łatwiej. I chyba warto o tym wiedzieć.

KRZYSZTOF GRZEGRZÓŁKA

Wzdłuż muru

KORESPONDENCJA
Z BERLINA ZACHODNIEGO

Na czarno

Tym razem nie będzie ani o pracy na czarno, ani o przejazdach metrem bez biletu, ani też o nielegalnym handlu na berlińskim pchlim targu, a właśnie o modzie. Bo przecież Berlin, tak jak i inne tchnące dniem i nocą życiem metropolie europejskie, dyktuje swoją modę, a raczej dyktuje ją berlińska ulica.

Mimo wysiłków lobby producentów tkanin, które prześciga się w lansowaniu coraz to nowych kolorów (w tym sezonie musztardowy i brzoskwinowy, w ubiegłym lila), w Berlinie już od dłuższego czasu króluje czerń, i to nie tylko w ubiorach. Pasemka i tleniony blond są całkowicie out. Włosy farbuje się na japońską prawie do niebieskości czerni. Pogardliwie spoglądają gromady „czarnej” młodzieży na przemijające cichcem w niemodnych już jeepach, opalone i utulone niedobitki młonych mód.

Opalenizna, Wyspy Kanaryjskie i Majorka też są nie na czasie. Śmietanka urlopuje we Francji w Zagięciu Ruhry i w ekskluzywnej wręcz NRD. Ten, kto w pogoni za modą rwie dziś i strzępi swoje dzinsy czyni to na próżno. Dzinsy nosi się, owszem ale tylko czarne, i oczywiście całe. W sezonie zimowym natomiast, nie nosi się już futer. Jeśli jednak kogoś w futrze spotka się na ulicy to można być pewnym, że to albo ekscentryk albo ktoś ze wschodu. Dlaczego? Bo ochrona środowiska jest in. Miliony futer zapechają beużyteczne szafy a w toaletach publicznych rozlepiane są hasła: „CZY MOGLĄBYŚ NOSIĆ NA SZYI UMARŁEGO LISA?” Z uwagi na opinię publiczną, pewna znana aktorka niemiecka przynajmniej, że swoje ostatnie futro sprezentowała koleżance. Gdyby pokazała się w nim publicznie — mówi, straciłabym twarz. Inna, również znana gwiazda co prawda nadal nosi futra, lecz przekornie przynajmniej, że czyni to jedynie dlatego, że jest zwolenniczką natury, a futra sztuczne jej przecież szkodzą.

I tu dochodzimy do następnej plany na honorze świadomego obrońcy natury. Plastik pod każdą postacią, które latami zalegały w sypiskach śmieci, są masowo bojkotowane. W sklepach oferowane są dlatego oprócz tzw. reklamówek, także torby papierowe i płócienne. Nienawiść do plastików sprawia, że studenci uniwersytetu berlińskiego odmawiają picia napojów w oferowanych im w studentkach stołówkach i kawiarniach plastikowych kubeczkach, bo niezdrowe i nieprzyjemne dla natury. Nikogo nie dziwi też aluminiowe i emaliowane kubeczki przyłączone za ucho do plecaków i toreb. Co będzie jeśli się okaże, że i emalia szkodzi? Modne staną się wtedy pewnie drewniane lub gliniane czarki.

Innym podobnym zjawiskiem jest zbiorowa ochrona lasów. Nawet już tak szacowne instytucje jak niemieckie banki drukują wyciągi z konta na papierze z makulatury. Wysyłanie listów na innym papierze jest out. Tak więc i ty kupując gazetę, którą właśnie czytasz, przyczyniasz się do ochrony natury!

Po przeczytaniu powyższego nikogo zapewne już nie zdziwi, że pani S. trzepiąc na balkonie wyliniałego lisa, którego kupiła po roku sprzątania na czarno, ciężko wzdycha. I gdy przekłada w szafie, potrząsając siwą głową, podziurawione dzinsy i mini-społdniczki myśli: „Ciężko jest być nastolatką”.

GRAŻYNA CZERWIŃSKA

Najmłodsza wśród najstarszych

Nikt z przeszło dwudziestodwutysięcznego i stale rosnącego tłumu zgromadzonego w gigantycznym amfiteatrze otoczonym drzewami nie zwrócił uwagi na tę drobną, elegancką kobietę o ciemnej twarzy, czarnych, prostych włosach równo obciętych poniżej uszu i przepasanych jedwabną chustką, kiedy wolno szła w towarzystwie tego mężczyzny przypominającego Louisa Armstronga. Wszyscy wlepiali oczy w scenę niby to patrząc i słuchając zespołu młodych, znakomych rockowców, których zadaniem było rozgrzać tę ogromną widownię tak, by była gotowa na wybuch wulkanu. Tymczasem ów „wulkan” drobił kroczki przyglądając się swoim wielbicielom popijającym piwo i szampana z plastikowych kubków, zagryzającym kiełbaskami z różną i coraz głośniejszymi gwiazdami okazującym swoje zniecierpliwienie.

Aż wreszcie stało się — w oslepiających wybuchach fajerwerków, w światłach reflektorów zamieniających scenę w połyskującą różnymi kolorami taflę pojawiła się TT i potrząsnęła swoją lwią grzywą. Skończył się piknik. Nikt z całej przeszło 23-tysięcznej widowni nie usiadł przez następne dwie godziny. Tina Turner zaraziła wszystkich gorączką, pasją, wściekłą radością, szaleństwem, albo — gorzką refleksją. „River Deep, Mountain High” czy bardzo osobista piosenka, nawet autobiograficzna — „Nutbush City Limits” — to jej dawne przeboje, te sprzed 30 lat, gdy z mężem Ekelem Ike odnosiła triumfy. To nimi rozpoczyna koncerty. Biedna dziewczyna z przedmieść więcej niż prowincjonalnego Nutbush w bawelnianym stanie Tennessee po raz drugi przeżywa wielką karierę, większą od poprzedniej. „Po prostu jest najlepsza” — mówią o niej fani rocka w przedziale od 10 do 60 lat. Świadczy o tym też „platyna”, jaką otrzymała za ponad milion sprzedanych (w krótkim czasie!) egzemplarzy longplaya „Foreign Affair”. Od czasu jej powrotu przed sześciu laty, w czasie tzw. „plastikowego rocka” Tina w siatkowych sukienkach — białych, czarno-złoty i czerwonych, ledwo zakrywających jej biodra albo w skórzanych spodniach pokazuje swoim talentem, kunsztem — za którym kryje się ogromna praca — oraz niespożytą energią, dynamiką — jakiej wymaga się od olimpijskiego championa boksu w drugiej rundzie — o co chodzi w tej dziedzinie. W porównaniu z nią większość okrytych blaskiem, chwałą i pieniędzmi gwiazd rocka smakuje jak mrożone filety gotowane bez soli w kuchence mikrofalowej. „Jak się dziś macie?!” — krzyczy w stronę widowni „Bo ja wspaniale!” I można jej wierzyć. I chce się ją za to nagrodzić, że jej pasja i gorączka, którą nas zapala nie są wywołane sztucznie — przez alkohol czy narkotyki. Tina pija wodę mineralną. A my tańczący razem z nią na widowni co i rusz zapalamy jej tryskające gwiazdkami iskier „zimne ognie”.

W widowisku bierze udział znacznie więcej ludzi — cały jej zespół, w którym szczególnie wybijają się saksofonista i perkusista. Zespół ten towarzyszy jej z powodzeniem od czasu jej powrotu na sceny. Dwie tancerki w tonacji czarno-białej zdecydowanie ustępują Tinie kondycyjnemu. Na zakończenie dostajemy wspaniały popis w stylu „Soul”. Zakończenie? Nie chcemy. Jeszcze raz. I jeszcze raz. Wreszcie scena nie rozjarza się już pomimo naszych nalegań.

Trzy wieczory w Berlinie, to zaledwie część jej 16 (!) koncertów, jakie daje właśnie w ciągu części jej wielkiego światowego tournée, podczas którego odwiedzi ZSRR i USA. Po 30 koncertów, ale czy pozwoli jej na to publiczność? gu tego miesiąca w RFN i zarazem jest to tache koncertów i nagrań. Tina jest w szczytowej formie. Wspomina tu i ówdzie o możliwości odejścia lub choćby rezygnacji z koncertów, ale czy pozwoli jej na to publiczność? Śmiejąc się, wyznała chęć doczekania magicznej daty 2090 roku. Dlaczego nie?

JOANNA WIÓRKIEWICZ

Donosząc niedawno o animozjach i podziałach w „Solidarności” wyraziłem pogląd, że nie są one tak groźne, jak wynikałoby to z kuluarowych szeptanek czy otwartych już potyczek między frakcjami. Całą winę za eskalowanie napięcia zważyłem na ludzi małych, których wszędzie jest pełno. Ogar niętych pokusą szybkich karier i awansów. W każdym razie nie mogłem pogodzić się z myślą, że idea i dotychczasowa pragmatyka „Solidarności” mogą być wystawiane na tak dramatyczną próbę — i to przez samych konstruktorów.

Powodem tej dziwnej wojny jest podobno kwestia prezydentury Lecha Wałęsy. Piszę „podobno”, bo wszystko odbywa się za wolem niedopowiedzeń, sugestii, przypuszczeń, a nie chciałbym miotać oskarżeń bez potrzeby.

Zwalniając Henryka Wujca ze stanowiska sekretarza Komitetu Obywatelskiego, Wałęsa zarzucił mu niełojalność oraz bliską współpracę z Obywatelskim Klubem Parlamentarnym; zupełnie jakby to była ekspozytura śmiertelnych wrogów. W ostatnich atakach na „Gazetę Wyborczą” i Adama Michnika posłużył się Wałęsa argumentem takim, że ten najpoczytniejszy w Polsce dziennik spełnił już swoje funkcje wyborcze, uzgodnione z centralą, a teraz prowadzi własną politykę i wydawany jest przez prywatną spółkę. Przypomnę więc, że ludźmi, którzy dali pieniądze na tę gazetę, są Andrzej Wajda, Zbigniew Bujak i Aleksander Paszyński. Coraz częściej też Lech Wałęsa „wstydy się za rząd” Tadeusza Mazowieckiego, tzn. za niemrawość z jaką wprowadza on reformy gospodarcze i systemowe, za przeciągającą się recesję, wychodząc pewnie z założenia, że na ruinie odziedziczonej po komunistach można było w ciągu dwóch kwartałów zbudować coś bardziej okazałego.

Ale cel tych ataków precyzyjnie pokrywa się z „geografią odmowy” — mam na myśli brak poparcia dla prezydenckich planów Lecha Wałęsy (m.in. chodzi o to, że prezydentura miałaby się dokonać już jesienią i w trybie wyborów parlamentarnych) ze strony Tadeusza Mazowieckiego, Bronisława Geremka i „Gazety Wyborczej”.

Jedno jest pewne, żeby wprowadzić się do Belwederu Wałęsa musi zdobyć wystarczający

Poufne z... Warszawy Zdziwienia i żale

pakiet akcji politycznych, a prawda jest taka, że raczej je traci. Świadczy o tym wieści dobiegające z Sejmu i Senatu, sygnalizujące to badanie opinii publicznej, potwierdzające oświadczenia czołowych polskich polityków.

W Warszawie pomaga mu redakcja „Tygodnika Solidarność” zarządzana przez jednego z braci Kaczyńskich (drugi doradza Wałęsie w Gdańsku). Wspiera go Porozumienie Centrum, pośpiesznie powołane ciało polityczne, skupiające ludzi raczej średnich „lotów”. Pozostaje jeszcze Komitet Obywatelski na czele z wybitnym humanistą i zapewne szlachetnym czołwiekiem, Zdzisławem Najderem, choć nie po-

trafiłbym ocenić jego kwalifikacji i aspiracji politycznych.

Lech Wałęsa może czuć się osamotniony, na wet rozgoryczony, nie wydaje mi się jednak, żeby droga, jaką wybrał do „oczyszczania przedpola”, była właściwa. Znowu napiszę „podobno”, bo nie chcę tych rewelacji brać na własne sumienie, ale słyszałem, jakoby Wałęsa wpadł na pomysł, że skoro zawiódł się w swoich kalkulacjach związanych z prezydenturą i pomocą ze strony Mazowieckiego, Geremka, Michnika, Kuronia itd., więc podobno chce te osoby zdegradować i wymienić, obsadzając rząd i parlament nowymi ludźmi, nazwijmy ich — „bardziej lojalnymi”. Gdyby okazało się to bliskie prawdy, byłoby to również duży błąd polityczny, bo chociaż Lech Wałęsa wprowadzał tych ludzi na najwyższe stanowiska w państwie, niekoniecznie musi się udać kolejny taki manewr; nie mówiąc już o innej kwestii, tej mianowicie, że w każdym państwie i pokoleniu występuje pewna ograniczona wariancja personalnych. Po prostu, ludzi zdolnych, wybitnych jest niewiele, a akurat Mazowiecki, Geremek, Michnik, Kuron, Balcerowicz, Onyszkiewicz itd. potwierdzili swoją wysoką klasę i byłoby nawet rzeczą społecznie szkodliwą, gdyby właśnie w tym momencie, trudnym i pełnym niewiadomych, odeszli oni w cień polityki, albo wzmocnili szeregi opozycji.

Z tego, co napisałem, przebiega żal do Lecha Wałęsy i wyraźne zdziwienie, że sprzeniewierzył się własnej zasadzie: „Solidarności” nie da się zniszczyć, ani podzielić. Jest to na razie tylko żal, bo wciąż mam nadzieję, że kilka małych zrzeczeń posunięć — tymi w swoim dawnym dobrym stylu — potrafi doprowadzić do zgody, współpracy i solidarności.

ADAM BIELSKI



WHO IS WHO stanu wojennego

Kazimierz Brandys: facet, mieniący się „polskim pisarzem”

Stefan Bratkowski: nawiedzony kaznodzieja uzdrowiciel

Władysław B. (działacz „S” RI Regionu Świętokrzyskiego): człowiek bez skrupułów i kośćca moralnego, konfident gestapo, zdrajca na rodu, pospolity bandyta, nierób i oszust finansowy

Janina Ch. („S” Katowice) — pogotowie seksualne

Marian D. („S” Kielce) — chlali wódkę jak upadły anioł w Boże Narodzenie

Bronisław Geremek: Żyd, specjalista od ekstremów społecznych, psychoz masowych, reakcji tłumów, rozpala fanatyzmów

Feliks G. (przewodniczący MKZ „S” w Białymstoku): skazany w 1959 roku na 7 lat więzienia za rozbój z bronią w rękę

Agnieszka Holland: kobieta, która łączy jak najęta i której emocje odebrały rozum

ks. Henryk Jankowski: właściciel kolejnego mercedesa za 37 tysięcy marek zachodniego miecznika, który zapłacił od ręki 548 tysięcy złotych

red. Stefania J. (Katowice): dziwka o dużych wymaganiach

Waldemar Kuczyński: gość, uważający się za ekonomistę

Stanisław K. (członek KK „S” z Huty Stalo-

wa Wola): skazany w 1971 r. na rok więzienia za kradzież z włamaniem

Antoni K. (przewodniczący „S” Regionu Rzeszowskiego): nalogowy alkoholik, maltretujący żonę (pewnego razu wybił jej zęby), nalogowy gracz w toto-lotka, który przegrywa całe swoje pobory i nie daje żonie na utrzymanie domu i dzieci. Namawiał do współżycia seksualnego 20-letnie dziewczyny, pracujące w MKZ, w czasie I Zjazdu „S” sypiał z sekretarką. Prostak i cham, syn bandyty o pseudonimie „Lew”, zastrzelonego w 1946 r. przez wojska radzieckie

Bogdan Lis: chuligan, skazany w 1971 r. na 1,5 roku więzienia za udział w bójce

Tadeusz Mazowiecki: przechrzta

Adam Michnik: Żyd, syn i brat Żyda

Czesław Miłosz: schlebna niewybrednym gustem imperialistycznych mocodawców, pozostając w ciągłej gotowości do opluwania własnego narodu

Śławomir Mrożek: nie grzeszy miłością do ojczystego kraju ani zdrowym rozsądkiem

Zdzisław Najder: agent CIA, występujący oficjalnie w roli krytyka literackiego, dzierżymor da z Najderowa

Janusz Onyszkiewicz: bliski krewny krwawego watałki UPA

Ewa O. („S” Katowice): wiernie służy jak suka swoim ciałem koledze przewodniczące-

mu i reszcie tego burdelowego zarządu

Józef Piłsudski: zamordysta

Roman Polański: znany nie tylko z makabrycznych filmów, lecz także i z tego, że przed kilkoma laty odpowiadał przed sądem za zgwałcenie nieletniej dziewczynki, córki swych znajomych

Ronald Reagan: kiedy jeszcze studiował, należał do studentów słabych, z ekonomii i nauk politycznych otrzymywał w najlepszym razie oceny dostateczne. Nieuctwo widać w jego obecnej polityce, za którą mógłby otrzymać tylko pałę. I na dodatek obniżone stopnie ze sprawowania

Zbigniew Romaszewski: siewca nienawiści, pragnący ze swej ojczyzny uczynić kartę przetargową, otwarcie wzywający do przelewu krwi, tajemnych mordów i terroru

Andrzej R. (przewodniczący „S” Regionu Katowice): zmienia dziwki jak rękawiczki, oczywiście na koszt Związku

Romuald Spassowski: były ambasador, były Polak, były człowiek

Margaret Thatcher: moralistka

Lech Wałęsa: primadonna, jednego sezonu w teatrze marionetek, wróbel mianowany orłem, który na całe życie został dudkiem

Mirosław Rataj: redaktor „Contry” — pisma Ośrodka Informacji, Analiz i Prognoz Politycznych KW PZPR w Zielonej Górze, z którego zaczerpnieliśmy powyższe charakterystyki. Obecnie redaktor naczelny „Gazety Lubuskiej”.

Wybrał: KB

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 14 czerwca odszedł od nas nagle

red. Szczepan Zawadzki

Cześć Jego Pamięci.

Członkowie Oddziału
Stowarzyszenia
Dziennikarzy Polskich
w Zielonej Górze

kącik biznesmena

DOPLATY W SPÓŁCE Z O.O.

Dosyć często spotykam się w umowach spółek z ograniczoną odpowiedzialnością ze stwierdzeniem, w myśl którego, dopłaty wnoszone przez wspólników można podwyższać kapitał zakładowy spółki. Spotkałem się z tym nawet w broszurowym wydawnictwie, podpisanym przez utytułowanego prawnika, w którym podano przykładowy projekt umowy spółki z o.o. i udzielano szeregu porad odnośnie sposobu jej organizacji.

Z całą mocą podkreślam, że jest to rozwiązanie całkowicie błędne. Dopłaty w żadnym wypadku nie mogą być sposobem na podwyższenie kapitału zakładowego spółki.

Czym więc są dopłaty?

Najprościej dopłatą można nazwać wewnętrzną pożyczkę udzielaną spółce przez wspólników. Dopłata ma na celu ułatwienie spółce zebrania, w razie potrzeby, odpowiednich funduszy bez potrzeby podwyższenia kapitału zakładowego i przeprowadzania związanych z tym formalności. Nie ma także potrzeby przeprowadzania procedury obniżania kapitału zakładowego, jeżeli chce się dokonać zwrotu funduszy zebranych w drodze dopłat.

Różnica pomiędzy dopłatą, a zwykłą pożyczką polega przede wszystkim na tym, że udzielenie pożyczki zależne jest od dobrej woli dającego i biorącego pożyczkę. Natomiast wniesienie dopłaty jest obowiązkiem wspólnika wobec spółki. Aby ten obowiązek mógł być egzekwowany potrzebne jest spełnienie określonych warunków:

- w umowie spółki należy przewidzieć możliwość nałożenia na wspólników obowiązku wnoszenia dopłat,
- w tej samej umowie należy oznaczyć górną granicę wysokości dopłat w stosunku do udziałów (np. granicą będzie krotna wartość jednego udziału).

Warunki te muszą być spełnione kumulatywnie. Nie wystarczy bowiem samo to, że umowa spółki przewiduje dopłaty. Konieczne jest jednocześnie określenie górnej granicy. W przeciwnym wypadku obowiązek wnoszenia opłat byłby w kolizji z ograniczoną odpowiedzialnością wspólników.

Jeżeli umowa spółki nie zawiera żadnych innych szczegółowych postanowień, w kwestii dopłat należy stosować następujące zasady:

- organem uprawnionym do ustalania terminów i wysokości wnoszenia dopłat jest zgromadzenie wspólników,
- dopłaty muszą być nakładane równomiernie, w stosunku do posiadanych przez wspólników udziałów,
- jeżeli wspólnik nie uiszcza dopłaty w przewidzianym terminie wówczas można się od niego domagać odsetek za zwłokę,
- opóźnione wniesienie dopłaty upoważnia spółkę także do występowania z roszczeniami odszkodowawczymi.

W umowie spółki można ograniczyć obowiązek wnoszenia dopłat np. w ten sposób, że dopłaty mogą być uchwalone dopiero po pewnym czasie od daty powstania spółki.

Zwrot dopłat także leży w kompetencji zgromadzenia wspólników. Można na pokrycie strat bilansowych w kapitale zakładowym oraz po uprzednim, dokonaniem na trzy miesiące wcześniej, ogłoszeniu o zamiarze zwrotu dopłat.

Podobnie jak przy wnoszeniu dopłat: ich zwrot musi być dokonywany także równomiernie w stosunku do udziałów.

Na koniec najważniejsze: ponieważ dopłaty nie powiększają kapitału zakładowego, nie mogą służyć na zaspokojenie wierzycieli, i mogą być zwracane bez zachowania przepisów o obniżeniu kapitału zakładowego.

ANDRZEJ RYCHLIK

KUCHNIA

A MOŻE TAK COŚ Z RYB?

Ryby nie są zbyt doceniane w naszej kuchni, najczęściej jadamy wigilijnego karpia i śledzika w śmietanie lub w oleju na imieninach. Inne dania z ryb bywają na naszym stole niezwykle rzadko, a jeżeli już — to przygotowujemy je przeważnie na jeden, najbanalniejszy sposób — panierujemy w jajku i tartej bułce lub w samej mące i smażymy! A można, przy niewielkim nakładzie pracy z najzwyklejszej, najpospolitszej ryby słodkowodnej czy morskiej zrobić danie, że palce lizać! Spróbujmy. Ryby są bardzo zdrowe, a składniki jakie posiadają są wręcz niedorzeczne dla naszego organizmu. Przekonajmy się, jedzmy ryby — i to przygotowane na najróżniejsze sposoby.

RYBA W ŚMIETANIE

Kostkę mrożonych filetów (ok. 1 kg) moczymy w mleku przez 20-30 min. Na stole przygotowujemy: suchą i bardzo czystą ściereczkę do osuszania części ryb (doskonale są do tego celu jednorazowe ręczniki kuchenne, ale ja takie cudo spotkałam tylko raz w Lewexie), na deseczce mąkę krupczatkę wynieszaną z solą i sporą ilością „przyprawy pikantnej do ryb” lub takimi przyprawami, które lubimy. Na głębokiej patelni rozgrzewamy olej (sporo — części ryby muszą pływać w czasie smażenia jak paczki w bardzo rozgrzanym oleju) i wrzucamy 2-3 ząbki czosnku (wybitnie poprawia smak oleju i smażonej ryby, a gdy się zrumieni — wyjmujemy i wyrzucamy). Gdy tłuszcz na patelni jest dostatecznie gorący, wyjmujemy filety z mleka obsuszamy w ściereczce, panierujemy w mące z przyprawami i smażymy na złoty kolor z obu stron. Usmażone części ryby przekładamy łopatką do naczynia do zapiekania lub do drugiego rondla. W między czasie mieszamy szklankę lekko kwaśnej śmietany z czubatą łyżeczką mąki, usmażone kawałki ryby zalewamy śmietaną, przykrywamy dopasowaną pokrywką i wstawiamy do nagrzanego piekarnika lub na bardzo mały gaz na 10-12 min. Do tak przygotowanych ryb podajemy ryż na sypko, ziemniaki puree lub frytki, a w przypadku gdy rybę przygotowaliśmy na kolację — pokrojoną w skośne kromki bagietkę, bułkę paryską lub chleb. Jako dodatek pasuje każda surówka, ale najlepszą kompozycją całego dnia jest podanie sałaty pokrojonej w makaronik, skropionej cytryną i bardzo lekko posypanej solą utartą z ząbkami czosnku — ale to już tylko dla tych, którzy chętnie czosnek jada.

RYBA W ŚMIETANIE — Z PIECZARKAMI

Usmażone (wg przepisu podanego wyżej) filety trzymamy w rondlu na małym ogniu przez kilkanaście min. żeby ryba „doszła” w środku. Do drugiego rondelka kładziemy łyżkę świeżego masła śmietankowego, dajemy posiekaną w bar-

dzo cienkie i długie piórka cebulę (jedną dużą lub dwie małe) doprowadzamy do zeszklenia, następnie dodajemy 5-6 doskonale umytych i bardzo cienko poszatkowanych pieczarek i stale mieszając, czekamy aż wszystko się lekko podrumieni. Wówczas wlewamy szklankę lekko kwaśnej śmietany dokładnie wymieszanej z czubatą łyżeczką mąki wszystko zagotowujemy i doprawiamy do smaku. Można podać tak przygotowaną rybę na dwa sposoby

— gotowe filety ułożyć na ubranym listkami świeżej sałaty półmisek i na chwilę przed podaniem zalać sosem. Do tego — ryż na sypko, ziemniaki puree, frytki, a gdy danie przygotowaliśmy na kolację — pieczywo. Jako dodatek — każda surówka, ale najlepiej chyba smakuje przyrządzona z marynowanej papryki z cebulką lub z zielonej sałaty z cytryną i odrobiną czosnku.

— sosem zalewamy usmażone filety w rondlu, jeszcze chwilę trzymamy na małym ogniu — niech się smaki zmacerują. Ugotowany na sypko ryż układamy na szeroki półmisek lub na duży talerz — brzoję przybieramy listkami świeżej sałaty lub inną zieleniną, układamy porcje ryby z sosem a wierzch dania posypujemy drobno usiekaną zieloną pietruszką. Do tego — surówka z marynowanej papryki z cebulką, sałata z cytryną i odrobiną czosnku lub — kto lubi — surówka z kiszzonej białej kapusty. Tak przygotowaną rybę możemy także podać jako ciepłe danie kolacyjne gdy mamy zaproszonych gości, do tego podamy kieliszek wytrawnego czerwonego wina, świeżo zaparzoną, mocną herbatę. Na pewno usatysfakcjonujemy naszych gości.

RYBA MARYNOWANA

Jakakolwiek ryba słodkowodna: płoć, leszcz, karaś (ryby szlachetne jak szczupak, sandacz czy karp pozostawiamy na przyrządzenie bardziej luksusowego dania) lub kilogramowa paczka filetów z ryb morskich (mrożonych) Filety od razu moczymy w mleku, ryby inne sprawiamy (płoć i karaś pozostawiamy z głowami) i też moczymy w mleku. Przygotowujemy olej do smażenia (dużą ilość) i postępujemy jak w przepisie wyżej. W międzyczasie przygotowujemy zaletę: 1 część octu łączymy z 3-ma częściami wody, dodajemy jedną dużą (lub dwie małe) cebulę, pokrojoną w dość cienkie talarki, kilka ziarenek pieprzu kilka ziarenek angielskiego ziela, 2-3 małe listki bobkowe, szczyptę gorczycy, pół łyżeczki soli i 2-3 łyżeczki cukru (KONIECZNIE!) Usmażone ryby układamy w szerokim kamiennym garnku, słoju lub innym naczyniu i zalewamy ciepłą jeszcze marynatą. Następnego dnia ryba jest gotowa do spożycia i naprawdę doskonała. Do niej, ciemne pieczywo z masłem i sezonowe jarzyny np. na liściu sałaty położone po kilka plasterków świeżego ogórka rzodkiewki, wszystko posypane szczypiorkiem z cebulką i — kto lubi — lekko polane majonezem lub śmietaną. Z dodatkiem świeżo parzonej, mocnej herbaty — koniecznie bez cukru. Wspaniała kolacja.

EWA ASZKIEWICZ



TYDZIEŃ

IMIENINY

- 21 czerwca — Alicji, Marty, Alojzego
22 czerwca — Pauliny, Jana, Tomasz
23 czerwca — Wandy, Józefa, Zenona
24 czerwca — Danuty, Jana, Janisław
25 czerwca — Doroty, Lucji, Marii
26 czerwca — Pelagii, Jana, Pawła
27 czerwca — Adolfa, Cyryla, Władysława

FILHARMONIA

22 czerwca godz. 19.00
Koncert Symfoniczny Bisów — zakończenie sezonu artystycznego 1999/90.

wykonawcy: Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Zielonogórskiej pod dyr. Czesława Grabowskiego, Beata Będkowska — gitara Ryszard Zimnicki — fortepian
program: J. Strauss — Uwertura do operetki „Zemsta nietoperza”
J. Rodrigo — Concierto de Aranjuez (cz. I i II)
P. Czajkowski — fragmenty suity z baletu „Dziadek do orzechów”
G. Gershwin — „Błękitna rapsodia”
M. Ravel — Bolero

AMFITEATR

Rej... Tey... Rada
Estrada Ziemi Lubuskiej zaprasza
26 czerwca (godz. 17.30 i 21.30) na program kabaretowy „Rej... Tey... Rada” z udziałem Zenona Łaskowika, Bohdana Smolenia, Michała Bajora, Edyty Gęper, Grażyny Szapałowskiej, Kazimierza Kaczora,

Hanny Banaszak, Jana Kaczmarka, Janusza Strobela.
Impreza odbędzie się w zielonogórskim Amfiteatrze.

MUZEA

Lubuskie Muzeum Wojskowe w Drzonowie (czynne 9.30—15.30)
Broń XIX/XX wieku, II wojna światowa. Ciężki sprzęt bojowy. Galeria autorska W. Czechowskiej-Antoszewskiej. Malarstwo Bronisławy Wilimowskiej Ludowe Wojsko Polskie.

Muzeum w Nowej Soli (czynne 10—16). Konserwacja obrazu Abrahama Beyeyrena „Dary morza”. Portret dworski XVIII w. Kultura mieszczańska XIX w. Militaria. Herby miast nadodrzańskich w dawnej pieczęci. Przyroda doliny Odry. Rzeźba gotycka drewniana XIV-XV w. Muzeum w Świebodzinie (czynne 9—15). Dawne rzemiosło świebodzińskie. Przyroda Ziemi Lubuskiej.

Muzeum Marcina Rożka w Wolsztynie (czynne 9—15). Życie i twórczość Marcina Rożka.

Izba Pamięci dr Roberta Kocha w Wolsztynie (czynna po uzgodnieniu w muzeum M. Rożka)
Muzeum Okręgowe w Zielonej Górze (czynne 11—17) Galerie autorskie — Jana Berdysza, Józefa Cyganka, Aleksandry Domańskiej-Bortnowskiej, Leszka Krzyszowskiego, Marii Powalisz-Bordońskiej. Malarstwo i tkanina przestrzenna Lucyny Krakowskiej. Malarstwo Kamili Marchelek. Formy przestrzenne Jana Chwałczyka. Sztuka starożytnego Rzymu. Winiarstwo — sztuka, rzemiosło, tradycje. Malarstwo Grażyny Graszki. Malarstwo grupy „Kwadrat” z Witebska.

Muzeum Archeologiczne Środkowego Nadodrza w Zielonej Górze z siedzibą w Świdnicy (czynne 9—15)
Środkowe Nadodrze u schyłku starożytności. Obrona polskiej granicy

zachodniej. Środkowe Nadodrze w pierwszym tysiącleciu przed naszą erą. Malarstwo Tomasza Słowińskiego „Pejzaż archeologiczny”.

Muzeum Etnograficzne w Zielonej Górze (z siedzibą w Ochli) czynne 10—16). Wycinanki i pisanki Władysława Tomczaka. Wystawa „Od włókna do tkaniny”.

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Zielonej Górze (czynna 10—17) Muzeum Książki Środkowego Nadodrza. Galeria polskiej ilustracji książkowej. Ilustracje książki we Marii Orłowskiej-Gabryś.

Żagański Pałac Kultury (czynny 10—17) Poplenerowa wystawa malarstwa uczniów Liceum Plastycznego w Zielonej Górze. Harcerska wiosna kulturalna. Muzyka i taniec przejawem kultury ludzkiej. Zabytki klasy „0” na widokówkach ze zbiorów Jana Drozdowskiego. Muzeum Martyrologii Alianckich Jeńców Wojennych w Żaganiu (czynne 10—16)

GALERIE

„Agfa” Dom Kultury, ul. Kazimierza Wielkiego — Zdjęcia Marcin Murawskiego.

„Art” (czynna 10—17.30) — Malarstwo Klary Lipińskiej-Rawicz
Salon BWA (czynny 11—17) Łagów 89 — wystawa poplenerowa
Galeria WSP — Wystawa pokonkursowa rysunku satyrycznego pt. „Telewizja”

NIE ZAPOMNIJ

- 21 czerwca — początek astronomii
23 czerwca — Dzień Ojca
24 czerwca — Dzień Stoczniołwa, Portowca, Marynarza i Rybaka

TEATR

21-24.06. godz. 13.00 „Pinokio”
26.06. godz. 10.00 „Bajka o dobrym smoku”

TELEFONY

Pogotowie Policyjne 997
Straż Pożarna 998
Pogotowie Ratunkowe 999
Pogotowie c.o. 993
Pogotowie wodn.-kan. 994
Pogotowie gazownicze 22181
Pogotowie energetyczne 991
Pogotowie weterynaryjne 917
Informacja PKS 22301
Informacja PKP 3838
LOT 70797 i 952
Pomoc Drogowa
Gubin. Nowa Sól 981
Sulechów 981
Kozuchów 494
Świebodzin 981 i 23587
Zielona Góra 70552, 67765, 3065, 981

APTEKI

Zielona Góra — 21.6. ul. Wiśniowa
22-27.6. ul. Boh. Stalingradu
Lubsko — 21-27.6. ul. Krakowskie Przedmieście
Nowa Sól — 21.6. ul. 1 Maja
22-27.6. ul. Wyzwolenia
Sulechów — 21-22.6. ul. Świerczewskiego
23-27.6. Al. Wielkopolskie
Świebodzin — 21-22.6. Os. Łużyckie
23-27.6. ul. 1 Maja
Wolsztyn — 21-22.6. ul. Świerczewskiego
23-27.6. ul. 5 Stycznia
Żagół — 21-22.6. ul. Pomorska
23-27.6. ul. Śląska
Żary — 21-27.6. ul. Buczka

KINA

„Piast” BABIMOST

21-26.6. Akt zemsty (USA 18 l.)
Tymczasowy tata (jug. 12 l.)
Gabriela (braz. 18 l.)
27.6. Nieoczekiwana zmiana miejsc (USA 15 l.)
Nico (USA 18 l.)

„Zwycięstwo” CYBINKA

21.6. Ludzie koty (USA 18 l.)
22-27.6. Wall Street (USA 15 l.)
Powrót na ziemię (USA 12 l.)

„Ceramik” GOZDNICA

21-24.6. Wielka draka w Chińskiej Dzielnicy (USA 12 l.)
Gabriela (braz. 18 l.)
Gwiazdny przybysz (USA 15 l.)
25-27.6. Samotny wilk McQuande (USA 15 l.)
Śmiercionośna ślicznotka (USA 18 l.)
Zamieniona królowa (NRD b/o)

„Łydra” GUBIN

21-24.6. Commando (USA 15 l.)
Czarny wąż (pol. 15 l.)
Critters (USA 12 l.)
Fatalne zauroczenie (USA 18 l.)
25-27.6. Niedźwiadek (fr. 12 l.)
Obcy — decydujące starcie (USA 15 l.)
Krótkie śpięcie (USA 12 l.)
Żyć i pozwolić umrzeć (USA 15 l.)

„Światowid” KARGOWA

21-26.6. Tunel (ang. 18 l.)
Bliźnięta spotkania z wesołym diabłem (pol. b/o)
Nieoczekiwana zmiana miejsc (USA 15 l.)
27.6. Kamienny wyrok (kan. 18 l.)
Krótkie śpięcie (USA 12 l.)
Wodne dzieci (ang. b/o)
„Uciecha” KOZUCHÓW

21-25.6. Szczęśliwa trzynastka (chiński 12 l.)

Powrót wabiszczura (pol. 18 l.)
Noen jastrząb (USA 18 l.)
Wyznawcy zła (USA 18 l.)
O księżniczce Jutrzence i latającym szewcu (czech. b/o)

26-27.6. Commando (USA 15 l.)
Sztuka kochania (pol. 15 l.)
Uciekinierzy (fr. 12 l.)
Czarownice z Eastwick (USA 18 l.)

„Wzgórze” KROSNO ODRZANSKIE

21.6. Śmierć mroźna zima (USA 15 l.)
Niezwykła podróż Baltazara Kołosa (pol. 15 l.)
Krótkie śpięcie (USA 12 l.)

22-27.6. Ludzie koty (USA 18 l.)
Złote dziecko (USA 12 l.)

„Mewa” LUBRZA

21.6. Obywatel Piszczek (pol. 15 l.)
Wall Street (USA 15 l.)
Złota róża (rum. 12 l.)
22-27.6. W imię przyjaźni (fr. 18 l.)
Zabi król (NRD b/o)
Rybka zwana Wanda, czyli jak odzyskać łup (ang. 15 l.)

„Patria” LUBSKO

21-24.6. Obcy decydujące starcie (USA 15 l.)
Sextelefon (USA 18 l.)
Falszywy książe (czech. b/o)
25-27.6. Predator (USA 15 l.)
Kosmiczne jaja (USA 12 l.)
Przeklęty zły los (NRD b/o)

„Dozamet” NOWA SÓL

21-26.6. Szklana pułapka (USA 18 l.)
Nieoczekiwana zmiana miejsc (USA 15 l.)
Do zobaczenia chłopcy (fr. 12 l.)
27.6. Superglina (USA 18 l.)
Peggy Sue wyszła za mąż (USA 15 l.)

„Odra” NOWA SÓL

21-26.6. Akademia policyjna (USA 15 l.)

Mów mi „Rockefeller” (p.o. b/o)

27.6. Zdradzeni (USA 15 l.)

Cobra (USA 15 l.)

Falszywy książe (czech. b/o)

„Ludowe” NOWE MIASTECZKO

21-25.6. Nico (USA 18 l.)

Wielka draka w Chińskiej Dzielnicy (USA 12 l.)

26-27.6. Mucha (USA 18 l.)

Śmierć mroźna zima (USA 15 l.)

„Żeglarz” SŁAWA

21-26.6. Zdrada i zemsta (chiński 15 l.)

Willow (USA 12 l.)

27.6. Głupcy z kosmosu (ang. 12 l.)

Most na rzece Kwai (ang. 15 l.)

„Orzeł” SULECHÓW

21.6. Superglina (USA 18 l.)

Marcowe migdały (pol. 15 l.)

22-26.6. Joy (fr. 18 l.)

Deja Vu (pol. 15 l.)

W pogoni za rysiemi (czech. b/o)

„Semko” SZCZANIEC

21.6. Świat na uboczu (ang. 15 l.)

Brutalny pojedynek (rum. 12 l.)

F/x (USA 18 l.)

22-27.6. Ucieczka w noc (USA 18 l.)

Liccalisci (rum. 12 l.)

Telepasja (USA 15 l.)

„Kosmos” ŚWIEBODZIN

21.6. Old Shatterhand (RFN b/o)

Malone (USA 18 l.)

22-27.6. Niekończąca się opowieść (RFN b/o)

Karate Kid (USA 15 l.)

„Przyjaźń” ŚWIEBODZIN

21.6. Krótkie śpięcie (USA 12 l.)

Ucieczka w noc (USA 18 l.)

22-27.6. Uciekający nocleg (USA 18 l.)

„Tatry” WOLSZTYN

21-26.6. Cztery pancerni i pies — zestaw V (pol. b/o)

Winnetou i Old Shatterhand w

Dolinie Umartwych (RFN b/o)

Pluton (USA 18 l.)

21.6. Karate Kid (USA 15 l.)

27.6. Cztery pancerni i pies — zestaw VI (pol. b/o)

Wyznawcy zła (USA 18 l.)

Krótkie śpięcie II (USA 12 l.)

„Obra” ZBASZEŃ

21-26.6. Wróblek Willi (weg. b/o)

Człowiek w ogniu (USA 18 l.)

Peggy Sue wyszła za mąż (USA 15 l.)

27.6. Tunel (ang. 18 l.)

Czarny wąż (pol. 15 l.)

Ucieczka w noc (USA 18 l.)

„Wenus” ZIELONA GÓRA

21-23.6. Przygody rabina Jacobiego

(fr. 15 l.) 9.30, 11.30, 13.30, 15.30, 17.30, 19.30.

24.6. Złote miasto Inków — zestaw

bajet 12.00

Przygody rabina Jacobiego 13.30,

15.30, 17.30, 19.30.

25-27.6. Przygody rabina Jacobiego

9.30, 11.30, 13.30, 15.30, 17.30, 19.30

„Meteor” ŻAGAN

21-24.6. Przeklęty zły los (NRD

b/o)

Młode strzelby (USA 15 l.)

Jak to się robi w Chicago (USA

18 l.)

25-27.6. Old Shatterhand (RFN b/o)

Chee mi się wyć (pol. 18 l.)

Gliniarz z Beverly Hills (USA

15 l.)

F/x (USA 18 l.)

„Pionier” ŻARY

21-21.6. Predator (USA 18 l.)

Kosmiczne jaja (USA 12 l.)

25-27.6. Młode strzelby (USA 15 l.)

Jak to się robi w Chicago (USA

18 l.)

Wielka draka w Chińskiej

Dzielnicy (USA 12 l.)

PROGRAM TV

PIĄTEK 21 CZERWCA

PROGRAM I

- 8.35 Domator
- 8.50 Domowe przedszkole
- 10.15 Domator
- 16.25 Dla młodych widzów: Kwant a w nim film z serii „Ordy”
- 17.30 System
- 18.25 Magazyn katolicki
- 18.45 10 minut
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 Od A do Z — public. ekono.
- 20.05 Jacek Kaczmarski
- 20.45 Studio Italia '90, mecz: Irlandia - Holandia (transmisja)
- 23.05 Opole '90: Debiuty

PROGRAM II

- 16.10 Korep. dla mat. — j. ang. (58)
- 16.45 Studio Italia '90, mecz: Belgia - Hiszpania (transmisja)
- 18.50 „W labiryncie” (powt.)
- 19.20 Mrozek! — relacja z festiwalu w Krakowie
- 19.30 Przegląd filmów Piotra Parandowskiego „Wędrowni helleńskie”
- 20.00 Arcydzieło muzyki francuskiej: Olivier Messiaen — „Święty Franciszek z Asyżu”
- 21.00 Ekspres reporterów
- 21.45 Studio Teatralne Dwójki: Kado Kostzer, Alfredo Arias — „Tercet”
- 22.50 Telewizja nocą
- 23.25 Studio Italia '90, mecz: Korea Pld. - Urugwaj, Anglia - Egipt (skrót)

PIĄTEK 22 CZERWCA

PROGRAM I

- 8.15 Express gospodarczy
- 8.35 Domator
- 9.15 Wiadomości poranne
- 9.25 „Boso do łóżka” (3) — film prod. NRD
- 10.35 Domator
- 13.30 NURT: Polska emigracja
- 16.25 Dla dzieci: Wesole kino — filmy animowane
- 16.50 Dla dzieci: Opieko Pankracego
- 17.30 Raport
- 17.55 „...była pustynia” — reportaż
- 18.10 Szkoła mistrzów: Waldemar Dziński
- 18.25 Rzeczpospolita samorządna
- 18.45 10 minut
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 Teraz
- 20.05 60/90 — mag. public.-muz.
- 21.05 Sport
- 21.35 Opole '90: Premiery (transm.)
- 22.25 Wiadomości wieczorne
- 22.45 Opole '90: Premie i premiery (transmisja)

PROGRAM II

- 16.35 Korep. dla mat. — j. ang. (53)
- 17.10 Wrockowa lista przebojów Marka Niedzwieckiego
- 17.40 Express gospodarczy
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 „Dobra Nadzieja” — film prod. francuskiej
- 19.20 Antena Dwójki
- 19.30 Młode piękne głosy: Dorota Radomska (sopran)
- 20.00 Piątek — mag. z Krakowa
- 21.45 „Ostatnie dni Pattona” (1) — film prod. USA

SOBOTA 23.06.

PROGRAM I

- 7.50 Tydzień na działce
- 8.20 Na zdrowie — pr. rekreac.
- 8.40 Ziarno — pr. red. Katolickiej
- 8.55 Program dnia
- 9.00 Drops oraz film z serii „Heidi”
- 10.30 Wiadomości poranne
- 10.40 Militaria, obronność, nowocześnieść
- 11.05 Program dokumentalny
- 11.35 TV koncert życzeń
- 12.05 Siódemka w „Jedynce” — franc. pr. satelitarny
- 18.45 Szamani morsej — rep.
- 14.05 Nad Niemnem, Piną i Prypecią — Wołczyn
- 14.35 Rewizja nadzwyczajna
- 15.05 Portrety: „Jan Salomon portret portretu” — film dok.

- 16.00 Butik
- 16.45 Studio Italia 90 — 1/8 finału
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 Z kamerą wśród zwierząt
- 20.05 Opole '90 — piosenki Anny Jantar (1)
- 20.45 Studio Italia '90 — 1/8 finału
- 22.55 7 dni — Świat
- 22.55 Opole '90 — piosenki Anny Jantar (2)
- 23.45 Życie jest fraszką
- 23.55 Telegazeta
- 23.55 Opole '90 — Wspomnij mnie piosenki lat 20. i 30.

PROGRAM II

- 11.45 Konkurs 5 milionów
- 12.30 Czas akademicki
- 13.00 Bariery
- 13.25 Program dnia
- 13.35 „Goryle” — film przyrod. prod. USA
- 14.05 Klub „Midi” — nowa generacja instrumentów elektro.
- 14.25 „Baranów” — film dok.
- 14.35 Spektrum
- 14.50 Morskie różnorodności: „Gdziekolwiek dopiełni się twój los” ... i „Podróż sentymentalna”
- 15.10 Meandry architektury
- 15.30 Dziewczyna miesiąca
- 16.20 Zaproszenie do Teatru „Stu”
- 17.00 Bruce i dziewcząt tłum — ang. pr. rozrywkowy
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 Odeon na antenie „Dwójki”
- 19.15 Mrozek! — relacja z festiwalu w Krakowie
- 19.30 Wzgórze godziwego życia — rep.
- 20.00 Capella Gedanensis — Live
- 21.45 „Ostatnie dni Pattona” (2) — film fab. prod. USA
- 23.05 Komentarz dnia
- 23.10—23.25 Brunona Miecugowa „Duchy polskie”

NIEDZIELA 24.06.

PROGRAM I

- 7.00 Witamy o siódmej
- 7.30 Kraj za miastem
- 7.55 Po gospodarsku
- 8.10 Od niedzieli do niedzieli
- 8.55 Program dnia
- 9.00 Teleranek oraz film z serii „Detektywi na wakacjach” — prod. TP
- 10.30 Wiadomości poranne
- 10.35 „Na podbój oceanów” (4) — film dok. prod. USA
- 11.25 Notowania
- 11.50 Szalom: „Teddy kolek” (ost.) film dok. prod. izraelskiej
- 12.30 TV koncert życzeń
- 13.15 Dla dzieci: „Tęczyowy Music-Box”
- 14.15 Opole '90 — O czym marzą dzieci
- 15.15 Antena
- 15.35 „Powrót Arsena Lupina” (3) — „Niezwyczajnie spokojny uczyony” — franc. film fab.
- 16.45 Studio Italia '90 — 1/8 finału
- 19.00 Wieczorynka
- 19.55 „Modrzejewska” (7-ost.) — „Plan bitwy” — prod. TP
- 21.15 Opole '90 — Koncert finałowy (transmisja)
- 22.40 Wiadomości wieczorne (w przerwie koncertu)

PROGRAM II

- 8.40 Zdrowie — magazyn
- 9.10 Przegląd tyg. (dla niesłyszących)
- 9.45 „Modrzejewska” (7-ost.) — (dla niesłyszących) — film TP
- 11.05 Jutro poniedziałek
- 11.30 Lokalny koncert życzeń
- 11.55 Program dnia
- 12.00 Polska Kronika Filmowa
- 12.10 „Płonące pola” (3) — film prod. ang.-australijskiej
- 13.05 100 pytań do...
- 13.45 A to Polska właśnie — rep.
- 14.15 Kino rodzinne: „Myślami. Że mnie lubisz” — prod. NRD
- 15.20 Z batutą i z humorem
- 15.40 Podróż w czasie i przestrzeni: „Łot kondora” (2) — „Ocean, pustynia i rozrzedzone powietrze” — ang. film dok.
- 16.35 Program publicystyczny
- 17.30 Bliżej świata
- 19.00 Wydarzenie tygodnia
- 19.30 Galeria 37 milionów
- 20.00 Publicystyka kulturalna
- 20.45 Studio Italia '90 — 1/8 finału
- 22.55 „Płonące pola” (4) — film ang.-austral.
- 23.50—23.55 Akademia wiersza

PONIEDZIAŁEK 25.06.

PROGRAM I

- 15.30 NURT. Edukacja kulturalna
- 16.25 Program dnia
- 16.30 Teleexpress
- 16.45 Studio Italia '90 — 1/8 finału
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 W Sejmie i Senacie
- 20.05 Spotkania na trakcie
- 20.45 Studio Italia '90 — 1/8 finału
- 22.55 Kontrapunkt

PROGRAM II

- 17.10 Program dnia
- 17.15 Przegląd PKF
- 17.45 Ojczyzna-polszczyzna
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 Jacek Kaczmarski '90 — rec.
- 19.30 Życie muzyczne: „Diabły z Loudun” w Łodzi — rep.
- 20.00 Teatr TV: Sławomir Mrożek — „Portret”
- 22.10 Auto-Moto-Fan-Klub

WTOREK 26.06.

PROGRAM I

- 8.45 Domator
- 9.10 Teleferie: Na wakacje
- 9.40 Kino Teleferii: „Tajemnicza wyspa” (1) — film prod. czech.
- 10.10 „Falszywe dolary” — kom. prod. węg.
- 15.35 NURT: Polska emigracja
- 16.05 Program dnia
- 16.10 Klinika zdrowego człowieka
- 16.45 Studio Italia '90 — 1/8 finału
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 Plus-minus — pr. public.
- 20.00 Spotkanie z min. J. Kuroniem
- 20.15 Standardy: (2) — pr. roz.
- 20.45 Studio Italia '90 — 1/8 finału
- 22.55 Listy o gospodarce
- 23.30 Wiadomości wieczorne
- 23.45 Jutro w programie

PROGRAM II

- 17.25 Program dnia
- 17.30 Dookoła świata: Na Grenlandii
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 Dawniej niż wczoraj — mag.
- 18.50 Program publicystyczny
- 19.10 Modlitwa wieczorna
- 19.30 Z wiatrem i pod wiatr
- 20.00 Przebój Bogusława Kaczyńskiego
- 21.00 Wywiady Ireny Dziedzic
- 21.45 „Rzeka świetlików” — jap. film fab.

ŚRODA 27.06.

PROGRAM I

- 8.25 Express gospodarczy
- 8.45 Domator
- 9.00 Wiadomości poranne
- 9.10 Teleferie: Altanka
- 9.40 Kino Teleferii: „Zagubiona melodia” (1) — film prod. czeskosłowackiej
- 10.10 „Bluebell” (7) — film prod. angielskiej
- 16.40 NURT: Mat. w szkole podst.
- 17.10 Program dnia
- 17.30 Sensacje XX wieku
- 17.55 TV informator wydawniczy
- 18.15 Film dokumentalny
- 18.45 Rolnicze różnorodności
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 Tele-audio video
- 20.05 „Bluebell” (7) — film prod. ang.
- 21.00 Sport
- 21.10 Sprawa dla reportera
- 21.50 Wokół wielkiej sceny
- 22.05 Jutro w programie

PROGRAM II

- 16.35 Korepetycje dla maturzystów: Język angielski (58)
- 17.05 Program dnia
- 17.10 Zbliżenia, czyli to i owo o filmie
- 17.40 Express gospodarczy (powt.)
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 Po prostu Balcerowicz — program publicystyczny
- 19.30 Kolekcja Nawrockich
- 20.00 Klub ludzi z przeszłością
- 20.20 O czym się mówi — rep.
- 20.40 Ze wszystkich stron: Polacy na Zaozju — rep.
- 21.10 Przegląd muzyczny
- 21.45 „W labiryncie” — film TP
- 22.15 „997” — kronika kryminalna
- * Programy informacyjne: 17.15 Teleexpress, 19.30 Wiadomości (I), 21.30 Panorama dnia (II)

GAZETA NOWA

REDAGUJE KOLEGIUM: Andrzej Buck (redaktor naczelny), Andrzej Gajda (sekretarz redakcji), Lucyna Małachowska-Grabowska, Czesław Markiewicz, Edward J. Mincer, Konrad Stanglewicz. **ZESPÓŁ:** Anna Bułat-Raczyńska, Leszek Krutulski-Krechowicz (fotoreporter), Krystyna Kulbicka (redaktor techniczny), kierownik redakcji Witold Michorzewski (grafik), Jacek Patałas, Alina Suworow, Mieczysław Więckowski. **STALE WSPÓŁPRACUJĄ:** Bogdan Kuncewicz, Mirosław Kuleba, Wojtek Mróz. **ADRES REDAKCJI:** 65-067 Zielona Góra, Pl. Bohaterów Stalingradu 13, tel. 30-01. **WYDAWCA:** „ALPO” SC Zielona Góra, ul. Podgórna 43c, tel. 666-00 fax 666-22 tlx 043 22 20. **DRUK:** Drukarnia Prasowa ZWP Zielona Góra, ul. Reja 5. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów. Materiałów nie zamówionych nie zwracaamy.

KURIER ZIELONOGÓRSKI

U NAS

■ Zielona Góra ma już nowego prezydenta, a inne miasta — burmistrzów. W Wolsztynie został nim Jan Woś. Wszystkim burmistrzom prezydentom i wójtom życzymy powodzenia.

■ W święto Bożego ciała ulicami naszych miast i wsi przeszły procesje. W Zielonej Górze uczestniczył w niej ksiądz biskup Józef Michalik, ordynariusz diecezji gorzowskiej.

■ Trwa zbiór truskawek. Niestety, plony będą niższe niż zwykle. Winne są majowa susza, czerwcowe przymrozki i tzw. szara pleśń.

■ Od stycznia do końca maja w prywatne ręce przeszło 265 placówek handlowych. M.in. Woj. Przedsiębiorstwo Handlu Wewnętrznego oddało 148, a „Społem” — 71 sklepów. Prywatyzacja handlu, wbrew opiniom sceptyków, postępuje nadal.

■ Wojewódzkie Biuro Pracy odnotowało już 11,595 bezrobotnych. Najwięcej w Zielonej Górze (2497) i Nowej Soli (2239). Wśród nich jest 630 (na razie) absolwentów szkół średnich i zawodowych. Spośród 389 ofert pracy zdecydowanie przeważają te dla robotników.

■ Na swoim wojewódzkim zjeździe spotkali się delegaci Stowarzyszenia Chorych na Cukrzycę. Problemów mają wiele, nowemu przewodniczącemu Jerzemu Marcinkiewiczowi wypada życzyć sukcesów w ich rozwiązaniu.

■ Osiemnastolatka ze Zbąszynia Magdalena Heyduk została „Dziewczyną Maja” w konkursie „Kurier Polskiego”. Majowa dziewczyna ma 175 centymetrów wzrostu i wymiary 93 — 64 — 94.

■ 14 osób zostało ranych, a trzy zginęły w wypadkach drogowych w ubiegłym tygodniu. Po raz kolejny apelujemy o ostrożność na drogach.

J. P.

Człowiek — istota ciekawa...

Rozmowa z laureatem Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki, ANTONYM HEWISHEM z Cambridge w Wielkiej Brytanii.

— W Zielonej Górze jest pan pierwszy raz, w Polsce gościł pan już wcześniej.

— Przed dwudziestu laty byłem w Warszawie na spotkaniu naukowym.

— Zaobserwował pan zmiany w naszym kraju?

— Trudno jeszcze, po tak krótkim pobycie, mieć jakieś oceny, jednak daje się zauważyć, że atmosfera jest tym razem dużo słodsza.

— Nie interesuje się pan polityką?

— Nie. Jestem naukowcem, mój rząd płaci mi za to, co robię, więc koncentruję się na pracy naukowej.

— Jednak miewa pan tak zwany wolny czas? Czym się pan wtedy zajmuje?

— Nie mam zbyt dużo tego wolnego czasu, ale kiedy się trafia słucham muzyki, głównie klasycznej, chętnie żegluję. Mam poza tym duży ogród i bardzo lubię w nim pracować.

— Są ludzie, którzy uważają, że — mówiąc symbolicznie — patrząc nie w gwiazdy, badanie Kosmosu to rodzaj ucieczki przed problemami, które ma ludzkość tu, na Ziemi. Ze poza tym wcale jeszcze nie znamy Ziemi i wiele mamy do zrobienia tu, blisko, a spoglądamy tak daleko i wysoko.

— Sądzę, że takie myślenie jest niewiele warte. Człowiek jest przecież istotą ciekawą — zarówno tego, co nas otacza, jak i nieba. Fa-

scydujące jest to, jak człowiek po wstał, dlaczego jest tym, kim jest. Aspekt zdobywania informacji jest dla nas, ludzi, bardzo ważny. Zarówno dla tych, którzy zajmują się nauką, jak i muzyką, sztuką...

A poza tym, praktyczne zastosowanie wynalazków naukowych jest przecież możliwe dopiero po teoretycznym rozpracowaniu zagadnienia. Dla mnie największym wynalazkiem jest stworzenie globalnej sieci komunikacyjnej w świecie. Sieć ta niejako skurczyła Ziemię, spowodowała, że wiemy o problemach ludzi po drugiej stronie planety. A to jest przecież wynikiem czystych, teoretycznych badań naukowych.

— Kiedy zaczął się pan interesować fizyką? Czy gdy miał pan na przykład 10 lat, wiedział pan, kim zostanie?

— Niewiele myślałem wtedy o przyszłości, ale już bardzo interesowałem się fizyką i — mówiąc żartem — chemią wybuchową. Robiłem masę różnych doświadczeń, żeby zaspokoić własną ciekawość.

— Czy jest dziś coś, co jest dla pana najważniejsze?

— Być tak dobrym naukowcem, jak to w moim przypadku jest możliwe i być tak dobrą osobą, jak to jest możliwe.

— Dziękuję za rozmowę i życzę przyjemnego pobytu w Polsce oraz owocnych badań na konferencji naukowej w Lagowie.

Rozmawiała:

ANNA BUŁAT-RACZYŃSKA



MIROZEK FESTIVAL

CRACOW

15th - 29th June 1990

MARATON TEATRALNY

Już w najbliższą sobotę 23 czerwca zielonogórzanie będą mieli okazję zobaczyć trzy spektakle w ciągu jednego wieczoru. Do Zielonej Góry przyjeżdżają Andrzej Grabowski i Piotr Syrwus z TEATRU STU, aby przedstawić naszej publiczności „AUDIENCJE V” Bogusława Schaeffera i „ZAPISKI OFICERA ARMII CZERWONEJ” wg. powieści Sergiusza Piaseckiego. Aktorzy Teatru Lubuskiego — Dorota Wierzbicka i Zbigniew Mośkał przygotowali na sobotni maraton premierę. Będzie to „FABULA RASA” wg E. Stachury.

Teatralny wieczór rozpocznie się o godz. 18.00 w Sali Kameralnej. Przedstawienia prezentowane będą w następującej kolejności:

— „AUDIENCJA V” (reżyseria i wykonanie: A. Grabowski)

— „FABULA RASA” (adaptacja i reżyseria: Janusz Kozłowski)

— „ZAPISKI OFICERA...” (adaptacja i reżyseria: Tomasz Obara)

Aktorzy TEATRU STU wystąpią tylko raz. Na wszystkie przedstawienia obowiązuje jeden bilet, który można nabyć już dziś, w Kasie Teatru w godz. 10.00-12.00 i 15.00-18.00 lub w Biurze Obsługi Widzów.

Kiedy mieścił się w sferach rządzących — podobalo mu się właściwie wszystko. Gdy sytuacja społeczno-polityczna „przesunęła” go do opozycji — ma za złe. Demagogia, tani populizm, manipulacja faktami bądź ich przeinaczanie, krytykanctwo w pigułce. Jednym słowem — MIODOWICZ.

Zielona Góra dorobiła się swego lokalnego Miodowicza i to w dwóch postaciach. Na łamach „Gazety Lubuskiej” pisuje jako brj. Na sesjach Rady Miejskiej występuje jako radny Andrzej Brachmański. Podali sobie ręce w sprawie wyboru nowego prezydenta miasta.

Fakty są następujące: Obywatelski Klub Radnych zorganizował coś w rodzaju konkursu na stanowisko prezydenta. Przesłuchano kilku kandydatów, poddając ich kilkugodzinnej „burzy pytań”. Po wnikliwej dyskusji, kierując się wyłącznie względami merytorycznymi (kwalifikacje, osobowość) wybrano najlepszego, aby zaprezentować go na sesji jako kandydata klubu. Informację o tym podała zielonogórska rozgłośnia.

W poniedziałkowej „Gazecie Lubuskiej” redaktor brj „przekłamał” radiową wiadomość. Występując w roli Pytli zapowiedział, że podczas sesji zgłoszony zostanie w ogóle tylko jeden kandydat; odbierając pozostałym klubom niezbywalne prawo przedstawienia innych pozwolił sobie na docinki z „wyboru” bez alternatywy.

Radny Andrzej Brachmański za grał na tę samą nutę. Zamiast konstruktywnie zaproponować kontrkandydata, jak Rejtan rozdarł szaty nad nową nomenklaturą i powrotem do skompromitowanych praktyk. Podważył sens działania Rady, w której jedna opcja polityczna posiada tak znaczącą przewagę.

Powtórzyliśmy więc wyraźnie słowa, które padły na sali z ust przewodniczącego OKR: „Tak, władzę w tym mieście objęły nowe siły i

nie mają one z tego powodu wyrzutów sumienia. Nie weszły do Rady kuchennymi schodami. O takimi właśnie jej składzie zdecydowali w wolnych, demokratycznych wyborach mieszkańcy Zielonej Góry. Opowiadając się za konkretnym programem i konkretnymi ludźmi, udzielili im społecznego mandatu zaufania. Radni OKR

Tylko krytykować?

kierowali się przy wyborze kandydata na prezydenta jedynie własnym sumieniem, nie zaś mniej lub bardziej wyraźnymi wskazówkami czy poleceniami jakiegokolwiek komitetu. Pewno niejedną jeszcze raz prezentować będą (po wewnątrzklubowej dyskusji) wspólne zdanie. Mimo pewnych różnic w poglądach, idą bowiem tą samą drogą, w tym samym kierunku. I na pewno nie jest to droga radnego Brachmańskiego — do tyłu”.

Nowy prezydent Zielonej Góry ROMAN DOGANOWSKI wybrany został 38 głosami radnych z klubów Obywatelskiego i Chrześcijańsko-Demokratycznego. Klub Oświaty i Pomocy Społecznej (czytaj: SdRP) wstrzymał się od głosu. Nawiasem mówiąc, jego członkowie nie byli też chętni do wzięcia udziału w pracach powołanych na sesji komisji Rady. Tylko krytykować?

Dokonano również wyboru wiceprzewodniczącego Rady Miejskiej. Zostali nim: Władysław Drozd z OKR (pracownik naukowy WSI) i Jerzy Podbielski z ChDKR (radca prawny).

W sprawach różnych między innymi nawiązano do budowy szkoły w przedszkolu dla dzieci niepełnosprawnych („GN” nr 23: „Potknięcie o schody”). Nie dysponując jeszcze pełną wiedzą o zasobności miejskiej kasy, radni postanowili wyasygnować fundusze na ten cel z własnych portfeli. Tuż po sesji zebrano blisko 310 tys. złotych. Może znajdzie się w Zielonej Górze kolejny ofiarodawcy?

K.B.